WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

H. ZAWORSKA — Nowa Huta miastem socjalistycznej kultury; T. A. JASIŃSKI — Broń przeciw ludowi;
S. DZIECHCIARUK — Film o bohaterze narodowym; M. WARNEŃSKA — Pytania opolskie.
J. KUCZYŃSKI — O czynie Mikołaja Kopernika w 400 rocznicę wydania dzieła;
B. GOŁĘBIOWSKI — Powieść o studentach białostockiej uczelni;
J STAWIŃSKI — Budowa rzeczywistości.

Rok X

Warszawa, dnia 24 maja 1953 r.

Nr 21 (407)

MARIA JANION

„GDY NARÓD DO BOJU..."

Z ODLEGŁYCH lat ucisku, krzywdy i niewoli wywodzi się ta pieśń, która stała się bojowym hymnem chłopskiego buntu przeciw ciemięzcom chłopskiej wiary w przyszłość ludowej Ojczyzny.

Przez wiele dziesięcioleci towarzyszyła rewolucyjnym walkom proletariatu i chłopstwa, zawierała w sobie gorejącą treść walki o wyzwolenie ludu. Stała się jedną z najpopularniejszych pieśni rewolucyjnych Dziś rozbrzmiewa na pochodach pierwszomajowych i w dniach Święta Ludowego, wspomaga zwycięstwa przodujących chłopów, nie zabrakło jej podczas zamykania obrad I Kongresu Spółdzielczości Produkcyjnej, śpiewa ją młodzież wyruszająca na trudne odcinki budownictwa socjalistycznego. Jest więc pieśnią naszej walki — ale dziś już także i n a s z y c h z w y c i ę s t w, naszych nadziei — ale dziś i naszej p e w n o ś c i j u t r a L u d o w e j P o l s k i. Weszła do skarbnicy najcenniejszych tradycji wolnego narodu. Swą obecnością we wszystkich pięknych i dumnych momentach naszego życia świadczy o nierozerwalnym związku idei, którą d z i ś r e a l i z u j e m y ze wszystkimi żarliwymi, choć nieraz jeszcze niejasnymi tęsknotami narodu do wyzwolenia człowieka, z gorącą prawdą jego ludowego patriotyzmu, nienawiści dla zdrajców i wyzyskiwaczy, z nieustępliwą wiarą w potęgę ludu, w historyczną konieczność jego zwycięstwa.

Dlaczego jednak właśnie ten wiersz jednego z demokratycznych poetów doby romantyzmu — Gustawa Ehrenberga, liczący już blisko 120 lat, stał się ulubioną pieśnią walczącego narodu, hymnem mas chłopskich, którym rewolucyjny pisarz poświęcił strofy utworu?

Jakie dzieło literackie osiągnąć może wysoką godność utworu, który stał się własnością narodową tak dalece, że niemal zatarła się już świadomość, kto był jego literackim twórcą, że jest on traktowany niemal jako anonimowa, wyrosła z tęsknot i potrzeb mas, pieśń ludowa?.... Wiersz ten, związany był z konkretną sytuacją historyczną, z oceną roli szlachty i ludu w powstaniu listopadowym 1830 — 1831 roku. Jednakże posiadał on dla szeregu pokoleń żywą wciąż aktualność radykalnego i dojrzałego programu walki o wyzwolenie i zjednoczenie rozdartych ziem polskich, ściśle uzależnione od wyzwolenia mas ludowych z jarzma ucisku i wyzysku, od obalenia i zniszczenia wrogiego narodowi wpływu, jaki na życie polskie miał feudalizm — a później jego przeżytki, zachowane w naszym kraju aż do czasów Wielkiej Reformy 1944 r. Wiecznie zaś żywą aktualność zapewnia wierszowi Ehrenberga przede wszystkim jego naczelne stwierdzenie, że l u d j e s t j e d y n y m ź r ó d ł e m p a t r i o t y z m u, że l u d j e s t n a r o d e m, że ci, którzy występują wbrew interesom ludu, stać się muszą tym samym — zdrajcami narodu.

Siła wiersza Ehrenberga tkwi w tym, że umiał on już wtedy przewidzieć nieuchronną klęskę sił magnackiej reakcji, tego, „co w życiu starzeje się i zmierza ku mogile, choćby dzisiaj było olbrzymią siłą" i zwycięstwo ludu — tego, „co w życiu rodzi się i z dnia na dzień rośnie" (Stalin).

Utwór Ehrenberga został napisany w epoce, kiedy trzeba było olbrzymiej przenikliwości historycznej i wielkiej siły przekonania ideowego, aby już dojrzeć zarodki przyszłego nieuchronnego zwycięstwa sił ludowych, nieodwracalnej klęski wszystkich zdrajców narodu, wyhodowanych przez szlachtę i magnaterię. Wiersz „Gdy naród na pole..." powstał bowiem, zdaniem historyków, już w latach 1835 — 1836, opublikowany został po raz pierwszy w wiele lat po aresztowaniu i zesłaniu jego autora, bo w 1848 r. w anonimowo wydanym zbiorku wierszy Ehrenberga pt. „Dźwięki minionych lat". Jak jednak wykazały ostatnie badania, na długo jeszcze przed 1848 r. wiersz Ehrenberga był rozpowszechniany przez agitatorów rewolucyjnych i śpiewany w różnych dzielnicach Polski.

Jak informują zeznania jednego z więźniów, w konspiracyjnej grupie studenckiej, do której należał także Ehrenberg, „akademik każden obowiązany był najszczególniej działać na chłopów — doprowadzić tychże do uważania siebie jako ludzi i to wyobrażenie, jakoby chłop od Chama pochodził, wykorzenić". Stwierdzono również, że wraz z innymi rewolucjonistami Ehrenberg kaptował wówczas „do powstania górników i górali". W tej atmosferze wykuwała się nieugięta, przepojona akcentami rewolucyjno - demokratycznymi postawa poety jako działacza politycznego i twórcy popularnych pieśni agitacyjnych.

Niezmiernie sugestywnie, z gryzącą ironią i żarem ideowym przeciwstawił Ehrenberg prawdziwy patriotyzm ludu, ofiarność i bohaterstwo „wiary" o rękach „czarnych od pługa" satyrycznie potraktowanemu egoizmowi i małoduszności magnaterii — wieczystej nosicielce zdrady narodowej. Ostra świadomość wielkiego procesu historycznego, jakim było kształtowanie się nowożytnego narodu polskiego, każe Ehrenbergowi widzieć ludowe korzenie narodu, każe mu wykluczać poza jego obręb kosmopolityczną i zdradziecką magnaterię. Uderza porywająca pewność bliskiego wyzwolenia spod pańskiego jarzma, pewność dojrzewania ludowej świadomości klasowej. Toteż pieśń Ehrenberga rozbijała mity solidaryzmu, którymi od wieków oszukiwano polskich chłopów. Siła utworu tkwiła także w zapowiedzi nieubłaganej zemsty ludu za krzywdę społeczną i zdradę narodową.

Poprzez dziesięciolecia historii lud nasz uczył się odnajdywać prawdę tej pieśni. Była ona aktualna wtedy, kiedy wszystkie powstania wyzwoleńcze narodu polskiego ponosiły klęskę z tych samych przyczyn, tak dokładnie niegdyś określonych przez Ehrenberga. Nie mogła zostać zapomniana jej siła wiary w zwycięską przyszłość w dniach manifestacji, strajków i powstań robotniczych XIX i XX wieku. Ta pieśń jak sztandar walki patronowała masom chłopskim w niedalekiej przeszłości podczas strajków i demonstracji przeciw wrogim narodowi rządom obszarniczo - kapitalistycznej kliki sanacyjnej. Jej gorzka prawda wracała na usta w dniach zdrady wrześniowej 1939 r. Śpiewali ją ludowi partyzanci zapowiadając tę „godzinę powstania", kiedy „magnatom lud ucztę zgotuje", i potem w dniach wielkiej Reformy Rolnej I dzisiaj pieśń Ehrenberga zwraca się swym ostrzem przeciwko dogorywającej na żołdzie wrogich Polsce sił imperialistycznych nowej Targowicy — obszarników, zbankrutowanych hrabiów i magnatów giełdowych, wystawiając im niezapomniany rachunek krzywd. Dzisiaj zagrzewa ona do walki o socjalistyczną przyszłość płomienną wiarą w niespożyte siły rewolucyjne mas chłopskich, które widzą ucieleśnienie swoich najpiękniejszych, wielowiekowych tęsknot i tradycji w Ludowej Ojczyźnie. Lud, który po wiekach niewoli sprawuje władzę w nowej Polsce, słyszy w pieśni Ehrenberga potwierdzenie swej potęgi i woli zwycięstwa, gorejącej we wszystkich naszych wielkich osiągnięciach budownictwa socjalistycznego.

Ta pieśń jest zawsze z narodem

STANISŁAW KAMIŃSKI

NOCNĄ GODZINĄ

Pamiętam jak z półki po kryjomu brała
ostrożnie, niczym przedmiot kruchy i nietrwały
książkę pierwszą — po latach czterdziestu bez mała.
Wstydziła się przyznać, lecz karty wydały
tajemnicę. Myślałem: kłopot masz znów mamo
ze śladami załamań rogów, albo z plamą
uczynioną niebacznie dłonią tłustą
na tytułowej karcie...

Ta pierwsza matczyna książka była jak lustro,
w którym ją dojrzałem — wśród domowej ciszy
losy bohaterów wszeptywała w słowa,
pewna, że nikt się nie dowie, nie usłyszy...
Aż potem zaskoczyła mnie pytaniem: „Orzeszkowa
to żyje jeszcze? Powiedz mi coś o niej synu."

Dziś czytamy razem. Jest godzina nocna,
zegar wystukuje chwile nim przepłyną
obok matki śledzącej po szeregach liter.
Pięć lat już tak czyta — do późna co wieczór,
choć wie, że nazajutrz ze świtem
przyjdzie jej znowu trud podjąć nielekki
— spracowana znajduje czas jeszcze, by mieć pod swą pieczą
pierwsze dwieście tomów wiejskiej biblioteki.

1953 r.

MONIKA WARNEŃSKA

PYTANIA OPOLSKIE

NA POZÓR było tak jak w październiku, za naszych jesiennych spotkań opolskich: miasta powiatowe, miasteczka i wsie, fabryki i spółdzielnie produkcyjne, szkoły — tym razem najwięcej szkół. Sale mniejsze lub większe, słuchaczy na ogół dużo. Frekwencja kilkudziesięcioosobowa była zjawiskiem rzadkim, przeważnie zjawiało się 200 — 300 słuchaczy, a nieraz przychodziło ich — zwłaszcza w środowiskach młodzieżowych — ponad 400 lub 500. Widzieliśmy znów twarze pełne rezerwy lub lekkiej nieufności, jak gdyby malowało się na nich pytanie: Kim są przybyli pisarze, co przynoszą, co powiedzą?

Lecz jedno było inne niż jesienią. W miejscowościach gdzie przyjeżdżaliśmy po raz drugi, w ośrodkach, uznanych za „trudne", za przejawiające obojętność dla książki, gdzie ponawialiśmy nasze odwiedziny — ciepły blask rozjaśniał twarze słuchaczy, a z dyskusji okazywało się, że pamiętali nas lub kolegów, którzy w jesiennym spotkaniu uczestniczyli, pytali o książki, które piszemy, a o których wzmiankowaliśmy poprzednio. Nietrudno było zgadnąć, że powtórny przyjazd literatów — to nowe, skuteczne uderzenie w zaskorupiały ugór obojętności na sprawy kulturalne, to nowy pomost rzucony między czytelnika opolskiego, a pisarza i książkę. Pomostów tych trzeba jak najwięcej.

Ale by więź zrozumienia zadzierzgnęła się mocniej — nie wystarczy sama wypowiedź pisarza, nie wystarczy gawęda, w której snujemy dzieje bohaterów naszych powieści i opowiadań. Potrzebna jest szeroka dyskusja. Wszędzie na tę dyskusję czekaliśmy, zachęcając do niej słuchaczy.

Oto pierwsze spotkanie z mieszkańcami fabrycznych Krapkowic. Pisarze byli tu już jesienią; atmosfera wśród słuchaczy jest ciepła i życzliwa. Ponawiają się „jesienne" pytania o tematykę śląską, zwłaszcza — opolską w naszej literaturze, o najciekawsze książki współczesnych pisarzy, o książki morskie i sportowe. I pytanie klasyczne niejako, które stanowi nieodzowny akord każdego prawie z naszych spotkań, pytanie o „Pamiątkę z Celulozy", o twórczość Igora Newerly, o jego plany pisarskie. Pytanie to powracać będzie często, świadcząc dobitnie o wielkiej roli dzieła Newerly'ego, które „przeciera" i toruje naszej współczesnej literaturze drogę do czytelnika opolskiego.

Pytania o książki Morcinka. Dwie jego ostatnie powieści, w tym jedna, która w ciągu roku doczekała się trzech wydań („Urodzaj ludzi") — jeszcze tutaj nie dotarły. Młodziutki oficer chce wiedzieć, co sądzą pisarze o twórczości Londona? A drugie jego pytanie: Dlaczego literaci nie zainteresują się tematem działalności Ludowego Wojska Polskiego w czasie pokoju?

Nazajutrz, w Byczynie wśród słuchaczy przeważa młodzież i to nie tylko miejscowa. Licznie stawili się tutaj uczniowie ze szkoły rolniczej z odległych o parę kilometrów Polanowic, którzy podczas dyskusji pytali o powieści dotyczące wsi. Jak się okazuje, nie dotarły jeszcze do szkoły polanowickiej „Traktory" Zalewskiego, nie mówiąc już o takich nowszych pozycjach, jak „Przebudzenie" Banasia lub „Dziewczyna" Pierzchały! Oni to serdecznie i gorąco prosili o przyjazd pisarzy, o zainteresowanie się literatów ich szkołą, życiem, nauką.

Od następnego spotkania prowadzimy dyskusje „kartkowe", które gorąco polecamy wszystkim kolegom - pisarzom, którzy wyjeżdżając w teren nie chcą ograniczać się do jałowego odczytania własnych tekstów, lecz pragną równocześnie wysondować prośby, życzenia i opinie czytelników, dotyczące książek, bibliotek, literatury. Odtąd ilość dyskutantów gwałtownie wzrosła, dochodząc do liczby 70. Nic dziwnego, że chrypliśmy nieraz, odpowiadając dyskutantom — przy czym dzielnie nam sekundowały koleżanki - aktorki — Janina Niczewska i Halina Krzyżanowska, do rąk których wędrowały kartki z mnóstwem pytań, dotyczących teatru, filmu, wybitnych artystów polskich.

„Jacy pisarze piszą książki romantyczne?", „dlaczego pisarze nie piszą książek miłosnych?" (Lewin Brzeski), „dlaczego obecni literaci piszą przeważnie na tematy współczesne sucho?, czy nie mają takich myśli więcej uczuciowych?" (Racibórz).

Te naiwnie często formułowane, ale szczere i symptomatyczne pytania padały niemal wszędzie.

W Prudniku, gdzie po raz pierwszy ogłosiliśmy „kartkową dyskusję", młodzi słuchacze chcieli wiedzieć: *„...czy napisanie powieści wymaga dużo czasu i trudu?", „czy obecny poeta (Jan Koprowski), zajmując się pisaniem, pracuje tylko w dziedzinie pisarskiej, czy też prócz tego pracuje zawodowo?"*

„...Na terenie naszej klasy — czytamy w innej kartce — *toczy się od dwóch lat dyskusja na temat: Kto jest większym poetą, Mickiewicz czy Słowacki. Prosimy o obiektywne wyjaśnienie tego zagadnienia — uczniowie XI-a".*

Młodzież raciborska pyta nas: *„Czy są tacy literaci, którzy zaczynają dopiero pisać książki, a nie pisali przedtem? A jak są, to jak brzmią ich nazwiska?".* Inne pytanie: *„Dlaczego Sienkiewicz i Kraszewski wspominają o ziemi raciborskiej, a współcześni pisarze nie?".*

W Oleśnie, pamiętnym działalnością Józefa Lompy, w Oleśnie, gdzie jesteśmy również po raz drugi — słuchacze pytają nas: *„...czy obfite użycie języka gwarowego w utworach literackich uszczupla ich wartość literacką, czy też nie?".* Inni chcą wiedzieć: *„Czy zawsze zmienia się nazwiska bohaterów w powieściach i dlaczego?".* Wysłuchawszy opowieści Wilhelma Szewczyka o pracy nad książką „Skarb Donnersmarcków", która wkrótce ukaże się drukiem — czytelnicy pytają: *„Czy autor jej również interesuje się ruchem chłopskim na Śląsku? Czy interesuje się nie tylko rodem Donnersmarcków, ale Hohenlohe i Ballestremami?".*

W pięknym, piastowskim Brzegu, w mieście pełnym zieleni, rozkwitłej pierwszą urodą wczesnej wiosny opolskiej, pytano nas:

„Czy umieścicie to spotkanie w jakiejś powieści?". „Kiedy obywatelka napisała swą pierwszą książkę i jaka to była książka?". „Czy autor tytuł książki ustala przed napisaniem utworu, czy w czasie pracy?".

„Czy obywatel na jakimś pisarzu się wzorował?".

„Czy obywatel mógłby ujmować akcję w swych powieściach tak ciekawie jak H. Sienkiewicz?".

„Dlaczego książka „Archipelag ludzi odzyskanych" ma taki dziwny tytuł?"

„Jak obywatel zapatruje się na zakończenie dramatu Żeromskiego pt. „Grzech" przez Kruczkowskiego?".

„Jak się należy zachować, gdy przed kulminacyjnym punktem opowiadania można „wsadzić" nudny lub specjalnie nieciekawy opis?" — pyta z troską młody adept literatury, a wielbiciel Prusa domaga się odpowiedzi na pytanie: *„Jakie jest według was zakończenie powieści „Emancypantki" — czy Madzia wyjdzie zamąż za Solskiego?".*

Powtarzające się niemal wszędzie pytania: *„Jak zostać poetą?"* (Brzeg). *„Jak wygląda dzień pracy pisarza?", „Co to jest natchnienie?" „Czy pan pisząc wiersze najpierw obmyśla treść i dobiera rymy, czy według pasujących rymów układa treść?", „Jak napisać utwór, aby był ciekawy?"* (Gogolin) — pytania te i podobne świadczą o tym, jak chęć do pióra mocno drąży i nurtuje naszych słuchaczy. Wśród młodych ludzi, którzy mozolą się nad pierwszymi swoimi próbami literackimi, wyrosnąć mogą przede wszystkim korespondenci prasy terenowej. Odczytując ich pytania — przeżywaliśmy jak gdyby w błyskawicznym skrócie niepokoje, zwątpienia i wahania początków naszej pisarskiej drogi. Podawaliśmy więc adresy dla korespondencji indywidualnej celem poradnictwa literackiego. Podkreślaliśmy konieczność nauki, samokształcenia, lektury, radziliśmy próbować pióra na tematy najbliższe, jakie nastręcza szkoła, wieś, miasteczko, praca organizacji zetempowskiej. Radziliśmy pisać do gazetek ściennych, nawiązywać kontakt z prasą młodzieżową oraz „Trybuną Opolską", mającą obecnie dodatek kulturalny „Głosy znad Odry" i nie zrażać się pierwszymi niepowodzeniami.

Przyszła do nas na przykład w Kuźni Raciborskiej młodziutka dziewczyna, rodowita opolanka. Chce pisać, próbuje pisać, pracuje obecnie przy zasiewaniu lasów. — Napisz, dziewczyno, o tym, co najbliższe ci i najlepiej znane, a jeśli trudno ci będzie szło, niesporo — odezwij się do nas!

Monika Warneńska

EUGENIUSZ ZARZYCKI

W NOWOSOLNEJ PRZYDAŁABY SIĘ RADA KULTURY

NOWOSOLNA ma dwa wiejskie zespoły. Muzyczny, składający się ze starszych chłopów i teatralny — młodzieżowy. Wąsaci grajkowie z Nowosolnej koncertowali nawet przez radio na dożynkach w Poznaniu, gdzie — jak zapewniają — sam rząd bił im brawo. Pracuje także znany zespół szkolny pod kierownictwem nauczycielki Smolarkowej. Młodzi artyści wystawili „Krakowiaków i górali", „Damy i huzary" i „Wesele Jagny". Widział ich Andrzejów, Wiskitno, wiele okolicznych gromad, widziała i publiczność łódzka.

Każdego wieczoru czynna jest w Nowosolnej świetlica, której kierownikiem jest zdolny, pełen zapału — ob. Jabłoński. Codziennie bywa tu ponad 80 osób. Niemało jak na gromadę.

Wreszcie i czytelnictwo wygląda imponująco. Biblioteka gminna liczy około 2.000 tomów i ponad 400 stałych czytelników. Obsługuje ją oraz dwa punkty biblioteczne znana działaczka społeczna, dawna nauczycielka, ob. Adamaszek. Urządza wystawy, publiczne pogwarki o książkach, to znów zobowiązuje uczniów szkoły do zaagitowania rodziców, by książki czytali. Stąd też biblioteka w Nowosolnej wysunęła się na drugie miejsce w łódzkim powiecie.

Byłem i w szkole, ściskałem dłoń kierowniczki przedszkola ob. Podoskiej, przypatrywałem się, jak 40 dzieci spółdzielców i indywidualnych chłopów z apetytem pałaszowało obiad.

Słowem — gdziekolwiek zajrzałem, wszędzie zastawałem obraz niemal że idealny. A jednak? Najważniejszym zadaniem, jakie stoi przed aktywem z Nowosolnej, to walka o ośrodek gromady, zamieszkały przez indywidualnych chłopów, walka o połączenie obu uspółdzielczonych skrzydeł wsi. Czy i w jaki sposób mogą i powinny tę walkę zaostrzać, wzmagać jej tempo zespoły artystyczne, szkoła, świetlica i biblioteka? Tu właśnie leży — jak w przysłowiu — „pies pogrzebany".

Zespoły w Nowosolnej są nieco sobiepańskie. Weźmy za przykład orkiestrę. Starsi muzykanci, niechętnie patrzący na młodych, jak to się mówi — do niczego nie należą i za nic nie odpowiadają. Trzeba, to grywają na dożynkach, ale i od wesel nie stronią. A poszczególni jej członkowie cichcem potrafią się wymknąć z flecikiem czy kornetem i zagrywać na kułackich weselach i chrzcinach. Nabór członków odbywa się trochę po „uważaniu", a w każdym razie nie ma mowy o jakiejś rozsądnej, planowej polityce kadr. Grajkowie grają i uczą się od przypadku do przypadku, bez oglądania się na rzeczywiste potrzeby terenu.

W zespole artystycznym młodzieży zauważyłem również niebezpieczne tendencje. Oto młodzież spółdzielcza odgranicza się wyraźnie od reszty, chciałaby koniecznie przewodzić, lecz rozumie to przewodnictwo w sposów równie zabawny jak i szkodliwy politycznie. Mianowicie domaga się osobnej świetlicy oraz żeby instrumenty muzyczne były t y l k o do jej dyspozycji; Podział na „my" i „wy" przeszkadza nie tylko w planowaniu imprez artystycznych, ale przede wszystkim odsuwa indywidualnych chłopów od obu kolektywów. A przecież na gruncie wspólnej pracy nad przygotowywaniem pieśni, sztuki, gazetki oddziaływanie spółdzielców stałoby się silniejsze.

Cóż to wszystko oznacza? Zespoły artystyczne żyją osobno. Starsi sobie, młodzież sobie, szkoła sobie, biblioteka także na własną rękę. A przecież są w gromadzie wyraźniejsze niż w wielu innych warunki na scalenie wysiłków kulturalnych, na — powiem wyraźniej — jednolitą politykę kulturalną w gromadzie i gminie. Przecież gdyby dodać, podliczyć wszystkie czynniki, a przede wszystkim samych tylko organizatorów życia kulturalnego — zebrałby się wcale niemały aktyw: 3 nauczycieli, bibliotekarz, kierownik świetlicy, kapelmistrz, kierownik zespołu młodzieżowego, przewodniczący ZMP, listonosz, referent oświaty i kultury w GRN. Razem 10-cioosobowy aktyw. On to powinien stanowić rodzaj r a d y k u l t u r y, wytyczać planowo pracę dla wszystkich zespołów, nie pozwolić, by chodziły samopas.

Eugeniusz Zarzycki

HELENA ZAWORSKA

NOWA HUTA MIASTEM SOCJALISTYCZNEJ KULTURY

SPECYFIKĘ potrzeb Nowej Huty określają dwa czynniki. Po pierwsze — jest to miasto, w którym wyrastanie nowego, socjalistycznego człowieka jest jak najściślej związane z masowym procesem przechodzenia niedawnych chłopów w szeregi klasy robotniczej — większość robotników rekrutuje się z podkrakowskich, rzeszowskich, podhalańskich wsi. Za tym faktem stoi wcale nienajbłahsza sprawa typu doświadczeń, zainteresowań, trudnego nieraz i burzliwego wrastania w zupełnie nowe warunki pracy i życia. Po drugie — Nowa Huta jest przede wszystkim miastem młodzieży — należy więc tu szczególnie uwzględnić jej zainteresowania: naukę, życie społeczne, rozrywki, sport.

Ludzie włączeni w wielkie socjalistyczne budownictwo rosną szybko. Budzenie się potrzeb kulturalnych jest jednym z ważnych ogniw tego procesu. Front walki ideologicznej, walki o świadomość klasową i polityczną, jest frontem pierwszej linii. Łączy się to jak najściślej ze sprawą wykonania planów produkcyjnych. Łączy się także z równie ważną sprawą werbunku nowych ludzi do pracy w kombinacie, a więc z koniecznością wzmożenia działalności propagandowo-oświatowej nie tylko w Nowej Hucie, ale i w całym województwie krakowskim.

Wiele mówiono już i wiele można by mówić o niedociągnięciach, jakie miały miejsce w pracy kulturalno - oświatowej na tym terenie. Wymieniał je referat pełnomocnika rządu do spraw kultury i oświaty w Nowej Hucie, mówili o nich dyskutanci. Wypowiadane były wszystkie żale: teatrów krakowskich do Nowej Huty, Nowej Huty do teatrów krakowskich, żeby wymienić tylko najburzliwiej chyba dyskutowany problem teatru i widza. Ale nie tylko teatry krakowskie mają wobec Nowej Huty wiele długów do odrobienia. Dotyczy to również wielu innych placówek i instytucji, aż po Ministerstwo Kultury i Sztuki włącznie. Nie przypadkowo kilkakrotnie nie mogły się odbyć w Nowej Hucie przedstawienia z powodu... braku widzów. Nie przypadkowo rozpadł się reprezentowany przez młodzież nowohucką na lipcowym zlocie w Warszawie zespół pieśni i tańca. Inicjatywa „z zewnątrz" była najczęściej inicjatywą żywiołową, bezplanową, nierzadko nieprzemyślaną, jak na przykład wybór tematyki do nielicznych zresztą odczytów. Odbyło się mianowicie kilka odczytów o... astronomii (ze szczególnym uwzględnieniem komety Halleya). Cóż to za doskonała metoda mogąca zapewnić odwołanie odczytu z powodu braku słuchaczy!

Kulała sprawa świetlic i „czerwonych kącików" (placówek życia kulturalnego w poszczególnych blokach). Nie interesowano się dostatecznie sprawą nauki i czytelnictwa. Przez długi czas nie były organizowane wypoczynki i rozrywki. Nie była i nie jest rozwiązana sprawa sportu. Pewne ożywienie kulturalne, jakie można było zaobserwować w Nowej Hucie w ostatnim okresie, nie upoważnia jeszcze do twierdzenia o zasadniczym przełomie. Konkretne zapewnienie warunków do zaistnienia tego przełomu, zorganizowanie i ożywienie pracy kulturalnej w Nowej Hucie — oto zadanie, jakie miała na celu sesja wyjazdowa Ministerstwa Kultury i Sztuki (w dn. 12 maja).

Realizacja tych zadań zależy — jak było to referowane — od trzech czynników: 1) od aktywnego, wzmożonego działania aktywu społecznego i kulturalnego Nowej Huty, uruchomienia sił miejscowych, 2) od realizowania przez wszystkie szczeble nadrzędne przyjętych na siebie zobowiązań wobec Nowej Huty, 3) od porozumienia i zgrania miejscowego aktywu i wszystkich instytucji nadrzędnych we wzajemnym planie i działaniu.

Doświadczenia, z jakimi dzielili się pracownicy kulturalno - oświatowi oraz ich wnioski i dezyderaty ukazały jasno kierunek, w jakim powinna zostać skierowana praca kulturalna w Nowej Hucie. W wypowiedziach wszystkich dyskutantów przewijało się jedno zasadnicze stwierdzenie: praca kulturalna prowadzona w wymiarach ogólno-organizacyjnych nie da rezultatów, jeśli nie zostanie ściśle połączona z bezpośrednim kontaktem i oddziaływaniem na odbiorcę. Pierwszy najtrudniejszy etap pracy — to zainteresowanie robotnika, rozbudzenie w nim świadomości politycznej i społecznej, rozszerzenie zainteresowań. Nie dokona tego samo ogłoszenie ani nawet najbardziej udany plakat. Nie dokona tego wetknięcie mu do ręki biletu na przedstawienie, o którym robotnik nie może się dowiedzieć niczego poza tym, że się odbędzie. Wstępne informacje wypowiadane na pięć minut przed podniesieniem kurtyny — jak stwierdzili dyskutanci — nie tylko nie mogą zainteresować, ale często są niezrozumiałe.

Bezpośredni kontakt z ludźmi, podjęcie pracy przede wszystkim na terenie świetlic i bloków, bezpośrednie dotarcie do robotnika — oto linia pierwszego i głównego ataku. Kontakt ten oczywiście objąć musi nie tylko ludzi teatru, satyryków, dziennikarzy, pisarzy, prelegentów Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Kontakt z mieszkańcami Nowej Huty powinni nawiązać również studenci, inżynierowie (pogadanki z dziedziny produkcji, dzielenie się doświadczeniami, zapoznawanie z metodami radzieckimi), zespoły amatorskie pobliskich wsi, tak chętnie witane przez ludzi, których kontakt ze wsią jest jak najbardziej żywy. Była w dyskusji omawiana sprawa samorządów blokowych, sprawa zbudowania kolektywów kulturalno - oświatowych na „Czerwonych Kącikach", konieczność dotarcia do robotników nie tylko w ich blokach mieszkalnych, ale i na terenie pracy, w kombinacie i oddziaływania tam za pomocą propagandy wizualnej, „Błyskawic", radiowęzłów.

Żywy bezpośredni kontakt z mieszkańcami, dążenie do wypracowania jak najbardziej urozmaiconych i ciekawych form tych kontaktów — oto jedna z głównych dróg do zainteresowania szerokich mas mieszkańców Nowej Huty życiem kulturalnym. Z problemem tym łączy się ściśle sprawa wypełnienia imprez kulturalno-oświatowych materiałem związanym z życiem miasta, z jego specyficznymi problemami, z trudnościami i osiągnięciami ludzi tam pracujących. Popularyzowanie doświadczeń zespołów, wysuwanie przodowników i racjonalizatorów, piętnowanie bumelantów i brakorobów, notowanie osiągnięć i „uderzanie" w błędy — oto tematy, które włączone w treść imprez zainteresują ludzi, pomogą im w pracy, przełamią bierny stosunek do akcji kulturalno - oświatowych. To nasycenie materiałem dotyczącym bezpośrednio życia Nowej Huty szczególnie zasługuje na uwzględnienie przy wszelkich programach satyrycznych.

✠

Sesja rozszerzonego Kolegium Ministerstwa Kultury i Sztuki w swej rezolucji wytyczyła konkretne, przemyślane, przedyskutowane z miejscowym aktywem drogi rozwoju życia kulturalnego Nowej Huty. Została usunięta jedna z podstawowych przeszkód w realizacji zadań kulturalno - oświatowych w Nowej Hucie a mianowicie zła koordynacja i rozproszenie organizacyjne. Mianowanie pełnomocnika rządu oraz jego zastępcy jako głównych organizatorów tej pracy na terenie Nowej Huty zapewnia ścisłą koordynację pracy. Podjęte zostaną również kroki w celu zlikwidowania drugiej poważnej trudności: niedostatecznej bazy działania, jaką stanowią pomieszczenia świetlic i bibliotek oraz sale kinowe, teatralne, estrady. Na okres tymczasowy (dopóki nie zostanie zbudowany teatr i Centralny Dom Kultury) będą oddane do użytku trzy przenośne baraki - świetlice.

Kolegium wzywa wszystkie instytucje nadrzędne oraz rady narodowe aby udzielały jak największej pomocy aktywowi kulturalno - oświatowemu Nowej Huty. Zwraca się z konkretnymi zaleceniami i postulatami do wszystkich głównych placówek kulturalno - oświatowych, żeby zacytować tylko niektóre, najważniejsze:

„Centralny Zarząd Teatrów obejmie patronaty nad zespołami teatralnymi i bezpośrednią opiekę nad teatrem „Nurt", udostępni mu kostiumerię teatrów krakowskich oraz wzmocni jego kierownictwo przez zatrudnienie etatowych pracowników. Ponadto organizować będzie w Nowej Hucie 4 przedstawienia teatralne w miesiącu przez teatry krakowskie.

Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos" zwiększy ilość występów swoich brygad do 6 w miesiącu oraz dołoży starań, aby program tych imprez był dostosowany do odbiorcy w Nowej Hucie.

Centralny Zarząd Oper, Filharmonii i Instytucji Muzycznych zorganizuje wyjazdy brygad Filharmonii Krakowskiej i solistów do nowej Huty oraz zorganizuje dwa koncerty w miesiącu. Przepracuje i dostosuje programy do potrzeb słuchacza Nowej Huty. Pomoże w zorganizowaniu zespołów pieśni i tańca Nowej Huty przez etatowe fachowe kierownictwo.

— do Ministerstwa Oświaty o rozwinięcie szerokiej akcji szkolnej dla pracujących;

— do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego o włączenie kół naukowych do prac społecznych w Nowej Hucie;

— do Centralnego Urzędu Kinematografii o budowę kina i o zasilenie kroniki filmowej tematyką o Nowej Hucie i jeszcze szersze upowszechnienie filmów;

— do Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio" o nasycenie programów rozgłośni krakowskiej problematyką Nowej Huty oraz o pomoc we właściwym funkcjonowaniu radiowęzłów;

— do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej o roztoczenie pieczy nad kulturą fizyczną w Nowej Hucie, o zbudowanie stadionu sportowego i hali sportowej oraz o udzielenie pomocy sportowym zrzeszeniom w upowszechnianiu sportu, pomocy w zaopatrzeniu i budowie urządzeń sportowych".

Zrealizowanie tych planów zależy nie tylko od instytucji, które są tu wymienione. Egzamin zdać muszą aktywiści Nowej Huty — od ich pracy, od ich zorganizowania współdziałającego z nimi szerokiego kolektywu zależą wyniki akcji, która na pewno zapoczątkuje przełom w rozwoju życia kulturalnego w mieście, które towarzysz Bierut nazwał „chlubą naszego narodu".

Helena Zaworska

Z PRZESZŁOŚCI W PRZYSZŁOŚĆ

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

BROŃ PRZECIW LUDOWI

(Fragment powieści)

WIEŚĆ o tym, że Lipski ściągnął do pracy na swoich polach kilkuset denikinowców obozujących w Szczypiornie i Kaliszu obiegła całą okolicę. W poniedziałkowe przedpołudnie gońcy między majątkami jeździli na pańskich koniach. Na ich wezwanie ludzie ściągali setkami do Górzna. Szli robotnicy dominialni z Sobótki, Kotowiecka, Lewkowa, Będzieszyna, Borowca, z Gałązek Wielkich i Małych, Gutowa i Szczur. Drogi były bardziej zatłoczone niż w niedzielę. Trwał stan pogotowia. Teraz już nie występowali osobno, ludzie z jednego folwarku przeciw swojemu panu, ale wszyscy razem. Wszyscy zdrowi: mężczyźni i kobiety całej okolicy byli zmobilizowani i gdy zaszła potrzeba łączyli się, by nie dopuścić do załamania strajku. Walka stawała się gorętsza, wymagała lepszej organizacji.

Ludzie gromadzili się na szosie, przy chałupach. Nowicka stała z Jadwinią na ręku koło chałupy, a jej mąż Michał kręcił się ze Storczykiem i Wojtczakiem wśród ludzi. Tłum był większy niż w niedzielę przed kościołem. Prawie wszyscy byli uzbrojeni w kije. Kobiety brały najmłodsze dzieci na ręce. Nikt nie chciał zostać w taki czas w domu. Wszyscy pragnęli przyczynić się do zwycięstwa strajku.

Minęło południe, kiedy ruszyli na najbliższe pole, gdzie pracowała niewielka grupka. Było ich może pięćdziesięciu. Ochraniało ich dziesięciu żołnierzy. Strajkujący pewni swojej siły poszli prosto na nich. Dowodzący chorąży nie miał odwagi wydać rozkazu strzelania. Przedarli się więc przez oddział i przegóniwszy łamistrajków poszli drogą z Górzna do Górzynka. Po obu stronach drogi zboża tworzyły żywopłot. Pochód wydłużył się teraz, bo droga była wąska i wyglądała jak wielobarwna wstęga rzeki,, płynąca między srebrnozłotymi brzegami. Powietrze było parne jak przed burzą. Zdawało się, że niebo obniża się i lada chwila zabraknie powietrza. Nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk. Cisza nabrzmiała niepokojem wisiała nad idącymi. Nowicki szedł teraz obok żony. Wziął Jadwinię na barana i udawał jeźdźca. Było coś wzruszającego w ich zabawie. Marysia i Władzia, jak wczoraj w ataku na pańskie ławki w kościele, tak i dziś przewodziły gromadzie dzieci. Przeważał jednak nastrój poważny, skupiony. Wszyscy zdawali sobie niejasno sprawę, że dzień ten będzie decydujący, że musi nastąpić przesilenie. Bez denikinowców i petlurowców hrabia musi ustąpić. Z daleka było ich widać. Skosili już pola przy drodze za łąkami. Było ich co najmniej dwustu. Nowicki oddając żonie Jadwinię szepnął do niej: „zdaje się, że będzie gorąco, nie ustąpią tak łatwo, ale „damy gadzinom bobu".

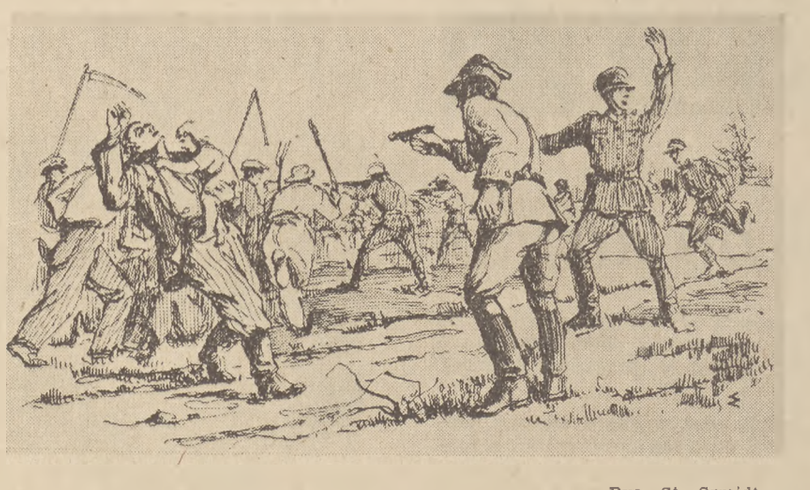

Rys. St. Szmidt

Pochód szedł półkolem przez łąkę wprost na denikinowców, którzy — jak gdyby zdziwieni — zaprzestali pracy i powoli schodzili się w gromadę. Tylko uzbrojeni żołnierze ustawili się w dwuszereg przed nimi. Chłopi szli na nich z podniesionymi głowami, przebijali ich wzrokiem. Nowickiemu myśli przewijały się jedna po drugiej. W skroniach tętniło z podniecenia.

Przestrzeń między denikinowcami, żołnierzami, a idącymi malała z każdą chwilą. Widzieli dobrze smagłe twarze żołnierzy i pierwsze grupy białogwardzistów. Naprężenie wzrastało z sekundy na sekundę. Żołnierze zaczęli się niepewnie oglądać poza siebie. Już tylko sto metrów, osiemdziesiąt, pięćdziesiąt... ludzie zaczęli biec. Na nich, na nich! Szercko rozlała się fala ludzka i zatoczyła krąg, jak gdyby chciała uchwycić łamistrajków w kleszcze. Karabiny drżały w rękach żołnierzy broniących łamistrajków, czekali ze strachem na rozkaz strzelania. Pierwszy szereg nacierających już zwarł się z oczekującymi, ręce z karabinami spadły, żołnierze nie chcieli strzelać.

— To co teraz robić, panie chorąży?

— Wezwać do zaprzestania strajku, a jeżeli nie ustąpią...

— To strzelać?

— To załadować się na auta i pojechać tam, skąd przyjechaliśmy.

— A przecież był rozkaz rozegnać.

— A co pan myśli, że we dwóch będziemy go wykonywać? — uciął chorąży już teraz ostro.

— Żołnierze są przecież pod moimi, pod naszymi roz.....

— Tak to prawda, ale kto oni są? Poborowi ze wsi i co, myśli pan, że będą...

We wrogą ciszę wdarł się przepity i chropawy głos zastępcy komendanta policji.

— W imieniu prawa i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej — zawołał uroczyście — w imieniu prawa, wzywam was do rozejścia się, nieprzeszkadzania pracującym i zaprzestania strajku.

Niespokojna cisza trwała znowu. Przerwał ją po chwili okrzyk bojowy denikinowców, którzy spostrzegłszy pomoc zawrócili z bezładnej ucieczki i rzucili się do kontrataku. Uzbrojeni w grabie chłopi, broniąc się rozpaczliwie, uciekali jedni na przełaj przez łąkę, inni by połączyć się z grupą stojącą przed wojskiem. Jednak napór denikinowców był tak wielki, że spokojnie stojąca grupa chłopów została pod ich naporem zepchnięta ze ścierniska na łąkę. Wojsko, policja i dowódcy cofali się teraz pospiesznie, w miarę jak napierał na nich tłum uciekających chłopów.

Cofający się tłum miał teraz tylko jedną drogę wyjścia: przebić się przez bagnety policji i wojska. Dowódca kompanii, patrząc rozpaczliwie na następujących ludzi, zawołał niezwykle cienkim głosem: — Do ataku, szykuj broń!

Chłopi zatrzymali się. Denikinowcy wykorzystali sytuację, rzucili się na nich z kosami, utworzyło się teraz wielkie kłębowisko ludzi. Pierścień wokół chłopów zacieśniał się coraz bardziej. Nie widząc innego wyjścia otoczeni rzucili się znowu w stronę wojska. Policja zaczęła strzelać. Dowódca kompanii wojska wydał również rozkaz strzelania.

Żołnierze wymierzyli w stronę strajkujących karabiny. Padł rozkaz. Wśród ludzi rozległy się jęki, okrzyki przerażenia. Tłum cofnął się jeszcze trochę pozostawiając między nacierającym wojskiem kilku towarzyszy, nie wiadomo — rannych tylko, czy zabitych. Z zatrzymanego tłumu wyszedł mężczyzna z maleńkim dzieckiem na ręku. Był to Nowicki. Stanął przed porucznikiem, który podniósł rewolwer do góry, wystrzelił. Nowicki zwalił się z nóg, a Jadwinia stoczyła się do pobliskiego rowu.

Chłopi przez chwilę patrzyli na to, co się stało onieśmieleni i przerażeni. Łąka w blaskach popołudniowego słońca mieniła się na przemian czerwienią krwi, która schnąc przybierała kolor rdzawo-czerwony, i zielenią traw.

Tadeusz Aleksander Jasiński

BOGDAN CHOCIANOWICZ

TO SĄ LUDZIE

Rys. K. Lattalo

ZADRZEWIONA wyniosłość, przewyższająca „o głowę" co najmniej okoliczne, łagodnie zaokrąglone wzgórza, stanowi zachodnią granicę rewiru Ignacego Kapca. Dalej są pola: soczyście zieleniejące oziminy, delikatne, nieśmiało — zielone kolory owsa, jęczmienia i jarej pszenicy, ciemne zagony kartoflisk. A potem jest już tylko szeroko rozlana, błękitno-złota w wiosennym słońcu, Odra. Po jej wschodniej stronie przycupnęły zabudowania niedużej wioski, Ognicy. Z wzniesień drugiego brzegu czerwienieją dachy niemieckiego miasteczka Vierraden. Nieco na lewo od miasteczka, w bezchmurne i szczególnie jasne dni, można dojrzeć kościelne wieże Schwedt.

Gajowy Kapiec zna wszelkie detale tego krajobrazu, oglądanego dzień w dzień niemal, od blisko czterech lat. I mimo to, od blisko czterech lat, niezmiennie, w każde pogodne popołudnie odpoczywa na „swoim" wzgórzu. Odpoczywa i widocznie rozmyśla. Mówię „widocznie", gdyż przypuszczam, że to, co opowiadał mi tego kwietniowego dnia, kiedy go poznałem, było niczym innym tylko owocem owych kilkuletnich, popołudniowych medytacji.

Słońce zaczęło się zbliżać już do linii horyzontu, tonąc powoli w Odrze. Siedzieliśmy na pniaku starej, zwalonej piorunem sosny. Gajowy mrużył oczy, marszczył swoją zwyczajną, chłopską twarz, wypuszczał niesamowicie wielkie kłęby gryzącego dymu i mówił:

— Więc jeżeli się rozchodzi o Rynicę, to tam za mojej pamięci, w czterdziestym dziewiątym znaczy się, sześciu chłopów siedziało na gospodarkach. Częściowo niezłe ludzie, ale częściowo zde-mo-ra-li-zo-wa-ne...

Z niejaką trudnością wydukał, oddzielając poszczególne sylaby, to „zdemoralizowanie" i z niesmakiem splunął. Nie wiem, czy była to gorycz kiepskiego tytoniu, który palił, czy też gorycz wspomnień. W każdym razie, po takim oczyszczającym zabiegu, wyrzucił z siebie szyderczo i mściwie:

— Amigranci... Ja bym ich... Przyjechał tu jeden z drugim niczym do Kanady, popatrzył na te siedem ha... i rzucił robotę. Jeden tylko jedyny do tych pór tu siedzi. Taki, jak go nazwać, miejscowy amigrant...

Rozweselił się na wspomnienie „miejscowego amigranta", złośliwie uśmiechał się przez chwilę i rozgadał się na dobre:

— ...Siwek niejaki, Adam. Kombinator, można powiedzieć, najgorszy w moim rewirze. Najpierw się chciał z rządem procesować i groził, że zda gospodarkę. Na łaskę losu, znaczy się, zda. Później wniósł do gminnej rady życzenie, że gospodarkę owszem, poprowadzi, ale życzy sobie tylko trzy ha na najlepszym miejscu w gromadzie posiadać. A kiedy zmiarkował, że w gminie w Widuchowej nie byle kpy siedzą, zaczął z innej strony. Ze strony obowiązkowych dostaw, znaczy się. Chował jedną świnię przez okrągłutki rok, zakontraktowaną. I pod koniec roku ten jego kontraktowany „tucznik" ważył coś ze 30 kilo...

Łypnął na mnie okiem, czy też daję wiarę jego słowom i ciągnął:

— To są ludzie — oświadczył zdecydowanie, cmoknąwszy wargami.

Oczywiście, gajowy Ignacy Kapiec, jako satyryk z urodzenia, korzystał nieświadomie z uprawnień tej warstwy ludzi i przejaskrawiał, gwoli uwypuklenia, negatywne strony życia pierwszych, często właśnie liczących na „lekki chleb" osiedleńców. Jednak do faktów bezspornych zaliczyć trzeba, że te okolice, przygraniczne, głuche i gospodarczo zapuszczone za junkierskich czasów połacie gryfińskiego Nadodrza, nie cieszyły się powodzeniem wśród pionierów osadnictwa.

Wiosną ubiegłego roku po uchwale Prezydium Rządu w opustoszałej Rynicy zamieszkało osiemnaście chłopskich rodzin z rzeszowskiego. Osiemnaście rodzin, wobec których Kapiec poraz pierwszy chyba w życiu złożył swoją broń urodzonego szydercy i kpiarza.

— O tych ludziach to ja wam pokażę do-ku-ment... Kapiec podetknął mi pod nos wymiętoszoną stronicę „Gromady — Rolnika Polskiego".

— Czytajcie!

U dołu, w wytłuszczonej ramce, pod tytułem: „Meldunek gromady Rynica — do Obywatela Ministra Rolnictwa" widniały następujące słowa:

„My, 18 rodzin nowoosiedlonych rolników gromady Rynica, powiatu gryfińskiego, województwa szczecińskiego, przybyliśmy na nasze stare ziemie piastowskie w pierwszej połowie 1952 roku na osiedlenie. W dniu 28 marca 1953 roku, jako pierwsi z gromad naszego powiatu, zakończyliśmy w swojej gromadzie całkowicie siewy zbóż kłosowych, to jest 25 ha owsa, 10 ha pszenicy, 15 ha jęczmienia i 8 ha grochu i mieszanki. Ponadto, chociaż jesteśmy zwolnieni na mocy uchwały Rządu od dostaw żywca, jednak z wdzięczności za opiekę nad nami i dla dobra naszej kochanej Ojczyzny Ludowej, odstawiamy do punktu skupu żywiec. Ob. Franciszek Ragan odstawił dwa tuczniki o wadze 343 kg., ob. Józef Wilk 320 kg., ob. Michał Lidwin i inni odstawili po jednym tuczniku. I tak się staramy i starać będziemy, aby gromada nasza świeciła przykładem i wzorem rolnikom całego województwa".

— No, co wy na to?

✠

Słońce dobiegło linii horyzontu i pomału zatapiało się w Odrze. Kapiec w zamyśleniu spoglądał na czerwieniejącą, gładką zupełnie z tej odległości, taflę wody. Nie podniósł głowy i wtedy, kiedy za naszymi plecami zabrzmiał spokojny głos życzący nam dobrego wieczoru.

— Siadajcie sołtysie — gajowy niezdziwiony, nie oglądając się, klepnął dłonią w sosnowy pień.

Przybyły zapytał: — Ile wam jeszcze należy się kopalniaka dowieźć?

— Ostatnio żeście wywieźli — rachował Kapiec — coś będzie tego ze 100 kubików... Ile jeszcze dacie radę?

Zostawił Lidwinowi czas do namysłu i zagadał:

— Widzicie! — I plany drzewne, państwowe, wykonują jak się należy ci z Rynicy, choć im jeszcze nie musowo.

Tymczasem sołtys, pragnąc widocznie dobić jakiegoś targu, wtrącił:

— Poradzilibyśmy coś nie coś przed żniwami, ale jak z *tym naszym?*

— Powiedziałem, to zrobię — rzekł gajowy. — Deski będą i belki także samo... Co za niewierny naród... Za budynki opuszczone, pomajątkowe, chcą się brać. Do remontu, znaczy się — dorzucił tonem wyjaśnienia.

— Po cóż wam one? Zabudowania przecież wszędzie solidne — zdziwiłem się.

Sołtys Ignacy Lidwin spojrzał na mnie podejrzliwie, jak bym zagrażał jego planom gromadzkich inwestycji i z wyrzutem w głosie odpowiedział:

— Jakże to? A może na jesieni albo z wiosną spółdzielnia u nas nastanie? To dziś nie mam o nią dbać? Dziś już potrza świetlicy jak się patrzy...

Za Odrą, w domkach niemieckiego Vierraden, zapalały się pierwsze światła.

— A tam — mówił dalej chłop — niby Niemce, a też spokojne, porządne, widać, ludzie. Czasami człowiek popatrzy: pracuja w polu, tak samo jak my...

Rys. St. Glerowski

— Niech mnie romatyz pokręci, jak łżę.

Spytacie zresztą w Ryniey. Przez tydzień, nieborak, wydziwiał, że mu nie przyjęli i woził parę razy... Amigrant...

— A ci, nowi?...

Twarz Ignacego Kapca zamieniła się w plastyczny symbol podziwu i uznania.

Bogdan Chocianowicz

HENRYK WORCELL

Dzieje trzeciego etapu Konkursu Czytelniczego

opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne

Rys. K. Lattało

W przyszłym roku obchodzić będziemy dziesięciolecie Polski Ludowej. W myślach, jakie wybiegają naprzeciw tej rocznicy, nie małe miejsce zajmują u czytelników i pisarzy gorączkowe obrachunki — w jakim stopniu w głównych choćby zakresach naszego życia odzwierciedliła literatura historię lat, w których naród polski dziejowej dokonał przemiany.

Charakterystyczne pod tym względem są dyskusje zbiorowe robotników i listy chłopskie do redakcji pism. Wciąż w nich wylicza się całe listy wątków i zakresów pod adresem pisarzy. Poczuliśmy godność pracy, jej wielkość i doniosłość. Ludzie uprzytomniają sobie pozycję i wagę gałęzi produkcji, w jakiej pracują i wołają wielkim głosem o zapis w literaturę, o dokument historii, jakim w świadomości literatura utrwala rzeczywistość. Więcej, ludzie wołają o ciąg dalszy rozpoczętej opowieści w każdym zakresie naszego życia. Coraz bowiem głębiej odczuwają puls historii, **wielkiej historii,** która w Polsce stulecie upadku odrabia w lat dziesięć.

Toteż z prawdziwą radością dolliczamy każdą pozycję, która chwyta nie objęty jeszcze przez pisarzy fragment naszych nowych dziejów. Do takich ugorem leżących odłogów w literaturze zaliczyć by trzeba wielką historię rewolucji kulturalnej na wsi. Trzeci już raz, co roku wznawiany, odbywa się Konkurs Czytelniczy we wszystkich prawie wsiach polskich. Co roku potężniej i głębiej przeoruje umysły i serca milionów ludzi. W jego zasięgu w jego organizacyjnym przebiegu dzieją się doprawdy dzieje.

Gdyby tylko z pietyzmem i troską kronikarza sporządzić wierny dziennik jednej gromady, ujrzelibyśmy jak w blasku książki i oddanych jej sprawie zapaleńców pierzchają mroki zacofania, jak na światło jej wysokiego sądu wywleczony wróg tężeje w przestrachu osamotnienia i potworności swych czynów. W takiej jednej kronice-dzienniku ujrzelibyśmy wielkie a szczegółowe przemiany w każdej gromadzie. Niezwykłym reflektorem byłaby taka kronika.

Taka kronika została napisana. Jesteśmy wdzięczni *Henrykowi Worcellowi*, że wdarł się w samo jądro rewolucji czytelniczej na wsi. Jego dziennik organizatora III etapu konkursu na gromadzie, w której mieszka, napisany został z pasją działacza kulturalnego i z ambicją pisarza. W literaturze monograficznej zajmie pozycję jedną z najciekawszych i najbardziej pasjonujących czytelników wiejskich. Bo choć przedstawia konkretną gromadę w jej indywidualnych losach kulturalnego rozwoju, tą właśnie szczegółową konkretnością wywoła u każdego czytelnika odzew w stu jego sprawach. Stanie się zwierciadłem i konfesjonałem.

Przejrzeć się będzie mógł każdy chłop, odnaleźć siebie i porównać z innymi. Będzie musiał dokonać rachunku sumienia własnych i cudzych na gromadzie grzechów. Będzie porwany pięknem ludzi, którzy dojrzewają w przemianach kultury, którzy o nią walczą i ugruntowują jej potrzebę.

Dziennik Henryka Worcella drukować będziemy w kilku odcinkach, mając błogą nadzieję, że wydawnictwa zainteresują się w międzyczasie monografią i wydadzą ją szybko, jako jedną z pozycji pokłosia Dni Oświaty, Książki i Prasy.

REDAKCJA

Drugi grupowy, Mąciło, też zawiódł. Tego tęgiego, pyzatego, napęczniałego krwią gospodarza spotkałem w chwili gdy rozmawiał przed kuźnią z Piwnickim, typem równie okazałym, dobrze trawiącym swoją codzienną funtową porcję baraniny. Doprawdy, można by pomyśleć, że obaj wyszli z kart satyrycznego pisma, zapomnieli tylko ustawić się na tle pełnych worów. Gdy oznajmiłem Mącile, że już mam książki dla jego grupy, zrobił wielkie oczy: — „Co, jak? Czy ja mam czas zajmować się takimi głupstwami. Idź pan do nauczycielki Krymskiej, ona akurat do tego pasuje". Piwnicki milczał uśmiechając się okrągłą gębą jakoś złośliwie i wstydliwie zarazem. Mimo woli zrobiłem w duchu małe dodawanko — Piwnicka plus Piwnicki plus Mąciło... i poszedłem dalej.

Wieczorem udałem się do nauczycielki Krymskiej. Po drodze spotkałem gospodarza Kajmera. Chudy, kościsty, wiecznie przygarbiony, chodzi w marynarce luźno zwisającej i z rękami w kieszeniach spodni. Twarz ma czarną, arabską, oczy wielkie i łyskające groźnie białkami; przypomina postać korsarza z powieści dla młodzieży. Pomyślałem, czyby jego miła córka, uczennica liceum, nie

Rys. St. Szmidt

podjęła się prowadzenia I grupy, ale odrazu zrezygnowałem z niej. Dlaczego? Oh, to są sprawy takie delikatne, podświadome... Ot, idziesz człowieku drogą, rozmawiasz z kimś, dyskutujesz gorąco, zdawałoby się, że nic nie widzisz, a jednak odruchowo omijasz bajorka, żeby butów nie zamoczyć. A Kajmer... Tak, dobry, pracowity chłop. Ma gospodarstwo, przy tym zarabia parą koni dowożąc zboże z magazynu na stację i jako rzeźnik też coś nie coś. Ludziom chętnie pożycza. Mnie też kiedyś... I nawet się nie upominał. Ale co tam wspominać, lepiej ominąć. Nauczycielkę Krymską zastałem w domu. Narzekała na brak czasu, nawał pracy zawodowej, ale w końcu przy milczącej aprobacie ojca zdecydowała się zorganizować i poprowadzić II grupę, przyjęła książki, które jej przyniosłem. Niestety po upływie tygodnia przekonałem się, że nic nie zrobiła, musiałem szukać innej grupowej. Zawiódł również Gorczakowski, który w zastępstwie Piwnickiej miał prowadzić grupę I. Z nim była historia nieco kłopotliwa. Chłopak ten, jeden z ośmiu zetempowców zrzeszonych w miejscowym kole, zapalił się do roboty i obiecał, że zorganizuje zespół wzorowy. Gdy go odwiedziłem w kilka dni później tłumaczył się, że nie miał czasu, że jeszcze roboty nie mógł zacząć. Przy naszej rozmowie obecny był jego ojciec, człowiek ponad 50-kę, milczkowaty, patrzący podejrzliwie — miałem wrażenie, że u niego nie tylko wąsy ale i oczy są jakoś nastroszone. Syn po raz drugi przyrzekł, że zorganizuje zespół i rozda książki. Minął tydzień, znów się zjawiłem u niego. Tym razem oprócz ojca zastałem dwie dziewczyny i starą Gorczakowską, kobietę chudą, nadmiernie wysoką, zlekka przygarbioną. Krążyła po izbie falując długą spódnicą i zerkając na mnie bokiem pochylonej twarzy. W pewnej chwili gdy syn zaczął się znów tłumaczyć brakiem czasu a stary Gorczakowski wyniósł się cichcem do sieni, wtedy dopiero stara pokazała swoje długie jakby końskie zęby.

— Wy tylko po domach chodzicie, żeby od ludzi wyciągać! Robić tylko na was za darmo, podatki dawać, mięso dawać, mleko dawać! Nic, ino dawać! Chwili spokoju nie ma, to jakieś konkursy, to gazety, to zespoły! A idźcie raz w pierony.

Nie było na nią rady, miotała się po izbie falując spódnicą i bryzgając śliną, nie dała dojść do słowa. Później dowiedziałem się, że jest to stała taktyka rodziny Gorczakowskich. Z chwilą, gdy jakiś agitator czy organizator akcji gospodarczo-kulturalnej zjawiał się w ich domu, stary Gorczakowski wychodził z izby zostawiając pole do popisu połowicy. A ta już wiedziała jak się do rzeczy zabrać.

Jakże inaczej sprawy poszły u Rucińskiego! Zastałem go z żoną i dorosłą córką, prócz nich był tam sąsiad Gozdawa i jakaś dziewczyna. Okazało się, że Ruciński czekał na mnie i na książki, ludzie chcą czytać, córka Maria chce prowadzić zespół. Z miejsca poczułem się jak wśród swoich i przystąpiłem do rzeczy. Rozgadaliśmy się. „To świetnie, koleżanko Mario. Zostawiam wam 25 książek i niech koleżanka pamięta, że do konkursu trzeba werbować również ludzi jak najmniej wykształconych". Stary Ruciński z uśmiechem wskazał na swego sąsiada.

— Ot, bierzcie odrazu Gozdawę. Szkoły nie ma żadnej, tylko kurs dla analfabetów.

Zabawiłem u Rucińskich długo, mówiliśmy o książkach przez nich czytanych (mieli własną bibliotekę) — „Faraonie" Prusa, „Radiotelegrafistce" Kożewnikowa, „Czerwonym nurcie" Nexō — trudno mi się było wyrwać od nich. Umówiłem się z nimi, że przyjdę w niedzielę, poczytamy sobie jaką książkę, może fragment „Matki" Gorkiego. Oczywiście Gozdawa także będzie i jeszcze trochę ludzi razem do 12 osób.

Późnym wieczorem, wracając do domu, wstąpiłem do gospody po papierosy. W sali bufetowej siedziało przy stole 4-ch ładowaczy z rampy kolejowej, a przy ladzie sołtys Gruby i brat Kajmerowej, Justek, popijali piwo. Sołtys był mocno podchmielony, w jego spojrzeniu dojrzałem coś zaczepliwego i to właśnie skłoniło mnie do zatrzymania się przy ladzie bufetu — zamówiłem piwo. Przez parę minut wszyscy w gospodzie milczeli. Justek człowiek drobny, czarniawy, o ujmującej twarzy południowca, zerkał ku mnie parokrotnie, chciał coś powiedzieć, ale pierwszy odezwał się sołtys Gruby. Spojrzał na

Rys. St. Szmidt

papiery, które trzymałem pod pachą i szczerząc królicze zęby, rzekł:

— Pisz pan, pisz... Tak, niech pan tylko pisze, wszystko notuje.

Wiedziałem o co mu chodzi. Przed miesiącem był w Zdarzycach pewien publicysta z Warszawy, rozmawiał z niektórymi ludźmi, zwłaszcza z ob. Teklicką i na podstawie tego wywiadu opublikował krytyczny artykuł o stosunkach panujących we wsi, zaatakował sołtysa. Od tego czasu sołtys boczy się na mnie, jest przekonany, i słusznie, że to ja skierowałem publicystę do Teklickiej Zresztą on zawsze odnosił się do mnie nieufnie, ale teraz już zdecydowanie zaliczył mnie do swoich wrogów.

— Dobrze — odparłem podnosząc szklankę z piwem — to, co pan mówi, zanotowałem sobie już w pamięci. I co jeszcze?

— No nie... niech pan tylko eee... pisze — zakreślił palcem w powietrzu. Justek pociągnął go za rękaw: — Daj spokój, co się czepiasz ludzi.

Wyszedłem z gospody robiąc w duchu małe dodawanko: Piwnicki plus Maciło plus Kajmer plus Gorczakowski plus sołtys Gruby plus Justek...

Czas uciekał, była już ostatnia dekada grudnia. Nie licząc na niczyją pomoc, sam przystąpiłem do organizowania grupy w środkowej części wsi zamieszkałej przeważnie przez inteligencję i półinteligencję: nauczycielstwo 7-klasowej szkoły, naczelnika poczty, zawiadowcę stacji kolejowej, kierownika magazynu zbożowego, kierownika piekarni, pracowników biurowych z okolicznych zakładów przemysłowych, sklepową, położną, bufetową z gospody itp. Tych nie trzeba było zachęcać do czytania, sami poszukiwali książek grymasząc według swoich gustów. Wiele książek konkursowych dawno już przeczytali: „Starą baśń", „Pana Tadeusza", „Lalkę", „Faraona", „Króla Chłopów", „Za chlebem" — teraz chęt-

Rys. B. Butenko

nie brali powieści Nexō i Balzaka, ze względu na ich rzetelny realizm, a z radzieckiej literatury powieści o Stalingradzie Simonowa i Niekrasowa, którymi byli raczej rozczarowani. „Tam nie ma — oświadczył mi jeden z urzędników, niedoszły prawnik — tam nie widać pojedyńczych bohaterów, jest tylko masa bohaterów w zburzonym rumowisku". *Tylko!*

W dolnej części wsi, gdzie miałem zwerbować III grupę czytelników mieszkali rolnicy i kilkunastu robotników dojeżdżających pociągiem do okolicznych zakładów przemysłowych. Wstąpiłem najpierw do wdowy Tatareckiej mieszkającej wspólnie z zamężną siostrą. Znałem je, wiedziałem, że książek w ogóle nie czytają, a sama Tatarecka to półanalfabetka, krzątająca się wiecznie koło swego dwuhektarowego gospodarstwa i jednej krowiny. Jak je tu podejść? Mówić o konkursie, o warunkach, robić z tego wielką rzecz — spłoszą się, nie zechcą przystąpić do zespołu. Zacząłem mniej więcej tak: „Ha! mam tu dla was coś dobrego" i spośród książek wyjąłem jedną: „Chów bydła" Lewandowskiego. A że książka była z obrazkiem, więc odruchowo sięgnęły po nią.—„A to jakaś rasowa — zauważyła Tatarecka wskazując na ilustrację — ale ma wymię!". „To i wasza krowa może mieć takie wymię, tylko musicie wiedzieć, jak się z bydłem obchodzić. A w tej książce właśnie jest napisane, jak i co trzeba robić. Mogę ją wam zostawić". Po tym dopiero powiedziałem im coś nie coś o konkursie i na dodatek zostawiłem jeszcze Jagmina „Uprawę lnu". Na odchodnym Tatarecka zadała mi pytanie, które w okresie trwania konkursu nieraz słyszałem: co się należy za te książki? Sprawa drażliwa. Ludzie na wsi, zwłaszcza starsi, nie wierzą, by im dawano coś bezinteresownie. Z nieufnością do akcji konkursowej spotykałem się parokrotnie. Były niedomówienia, były też wyraźne aluzje: „Coś za tym się kryje, *oni* by za darmo tego nie robili". Trzeba im było sprawę wyjaśnić w ten sposób:

— Nie, za książki nic się nie należy. Dostarczę wam jeszcze ile chcecie i też za darmo. Za książki płaci ZSCh i państwo. Ale nie myślcie, że państwo robi na tym zły interes. Bo jeżeli przeczytacie książkę dokładnie, to zobaczycie, że jest możliwe, by wasza krowa dawała dziennie 17 litrów mleka, a nie 12, jak dotychczas. Zastosujcie w swoim gospodarstwie rady zawarte w książce. A jeżeli będziecie mieć więcej mleka, to i odżywianie wasze będzie lepsze, będziecie zdrowsi, mocniejsi, więc i lepiej będziecie pracować, a przez to i Polska będzie mocniejsza. Czytajcie uważnie, to będzie wasza zapłata za książki.

Było mi przyjemnie, gdy kobiety odprowadziły mnie do drzwi i na pożegnanie zapewniły, że wieczorami będą czytać.

Henryk Worcell

(C. d. w następnym numerze)

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

U GNIEŹNIEŃSKICH BIBLIOTEKARZY

Lubawy

COŚ nie coś się zrobiło, ale cóż to wszystko znaczy w stosunku do potrzeb terenu? Bo potrzeby „terenu", czyli ośmiu punktów bibliotecznych gminy Kłecko w powiecie gnieźnieńskim, Lubawy zna doskonale. Poprawi okulary na nosie i zerkając z ukosa wylicza:

— Młodzieżowej literatury wydzielają nam jak na lekarstwo. „Piątkę z ulicy Barskiej" i „Jak hartowała się stal" np. po jednym egzemplarzu. A tu dobijają się bezustannie o obie pozycje. I komu dać? Tak samo „Pamiątkę z Celulozy": zamówiły wszystkie punkty, bo ludzie powieści ciekawi, a ty człowieku możesz dać tylko jednemu. Chyba losy ciągnąć, czy co?

Lubawy wzrusza ramionami jakby litował się nad ignorancją tego „kogoś" w Naczelnej Dyrekcji Bibliotek, który częstuje jednym egzemplarzem „Pamiątki" kilkuset czytelników gminy Kłecko.

— Weźmy na ten przykład spółdzielnię produkcyjną Czechy. Młodzież chętna, mają zespół czytelniczy, dyskutują — owszem — kilka dyskusji urządzili, a teraz samego Newerlego chcieli zaprosić, ale cóż — muszą czekać na kolejkę. Będę mógł im książkę dać dopiero we wrześniu...

Nic tylko kłopoty, powiedzmy, repertuarowe ma bibliotekarz z Kłecka. Oto w spółdzielni produkcyjnej Brzozogaj nie ma żadnego pomieszczenia dla książek. ZSCh nie ma pieniędzy na zakup szafy, natomiast Wydział Kultury PRN w Gnieźnie ma pieniądze, ale rzekomo szafy nie może dostać. Tymczasem księgozbiór w Brzozogaju, przerzucany z kąta w kąt, niszczeje.

— Szafy nie mogą dostać! Koń by się uśmiał. Widocznie w PRN siedzi jakiś biurokrata, który nie umie znaleźć drogi do stolarni... — mówi Lubawy.

Największą troską Lubawego była sprawa stworzenia aktywu czytelniczego. Wyjeżdża często do wszystkich punktów bibliotecznych, pomaga redagować gazetki ścienne i afisze reklamowe, organizuje narady. Na argumenty, że tak zwany „aktyw czytelniczy" to fikcja, wymysł istniejący tylko na papierze, odpowiada z uśmiechem:

— Pętają się jeszcze po świecie różni bibliotekarze od siedmiu boleści, którzy pracy nie potrafią zorganizować. Dla nich aktyw jest fikcją, no pewno, jakżeby inaczej...

Wilkowyja nie jest wsią spółdzielczą. Na różnych odprawach powiatowych wskazywano na tę wioskę jako na przykład szczególnie trudnego terenu. On wyprawiał się tam trzykrotnie nim wybrał odpowiedniego kierownika punktu. Został nim średniorolny Lech Szymański, który sam lubił czytać, książki kochał, a nawet zaczął kompletować sobie domową biblioteczkę. Później, którejś niedzieli wyjechali tam z ekipą.

Rys. B. Buteńko

Sławetna „ekipa", składała się z najgorliwszych czytelników gminnej biblioteki w Kłecku, którzy postanowili propagować czytelnictwo poprzez wyjazdy. Program nie był wcale skomplikowany: krótki wstęp, głośne czytanie fragmentów z „Chama", a w części artystycznej trochę śpiewu, muzyki i inscenizacji pewnych partii powieści. Potem mała wystawa książek. Jak już się rzekło, po kilku wyjazdach (m. in. do spółdzielni produkcyjnej Próchnowo), ekipę przywiózł Lubawy do Wilkowyi. Impreza udała się — i to zapoczątkowało przełom. Dziś, po roku, tamtejszy punkt biblioteczny liczy 64 czytelników.

Podobnie było w Komorowie i Ułanowie. W samym zaś Kłecku pracują 4 zespoły czytelnicze; biblioteka liczy ponad stu stałych czytelników i drugie tyle sporadycznych gości. Najchętniej czytane pozycje to: „Pamiątka z Celulozy", „Pawie pióra", „Matka" i „Jak hartowała się stal". Zespoły przygotowują na konkurs ZSCh „Dittę".

Kim jest kierownik gminnej biblioteki w Kłecku? Syn robotnika, który od zakończenia wojny pracuje jako woźny w szkole. Ma sześcioro młodszego rodzeństwa, które, rzecz zrozumiała, przoduje w czytelnictwie. Nic dziwnego, jeśli się ma takiego brata!...

Dowiedziałem się, że Lubawy w drodze awansu społecznego zostać ma sekretarzem Prezydium MRN. Będzie mógł odejść ze swego posterunku ze spokojnym sumieniem: wychował sobie następców. Gmina Kłecko czyta i czytać będzie najwięcej spośród gmin powiatu gnieźnieńskiego.

Frydrychowiczówna

KIEDY ojca hitlerowcy zamęczyli w Oświęcimiu, miała 9 lat. Rok po wyzwoleniu kraju zmarła jej matka. Trzynastoletnia dziewczynka poszła na służbę do kułaka, który obarczał ją pracą nad siły i nie pozwolił jej się uczyć.

— Ojciec gnój rozrzucał i ty będziesz do śmierci rozrzucała. Po co tobie książka?

Podczas któregoś ze smutnych wieczorów, gdy ukradkiem w oborze zapalała świeczkę żeby sylabizować głoski, postanowiła, że zostanie bibliotekarką. Pokochała kolumny czarnego druku zamknięte w różnobarwnych okładkach miłością sierocą, silniejszą od głodu. Im częściej marzyła o niedosiężnym zawodzie, tym silniej wierzyła w swoją przyszłość. Mała, szczupła Tereska Frydrychowicz z Witkowa pod Gnieznem...

Zajęło się jej losem miejscowe koło ZMP; zaczęła chodzić do szkoły, później na wieczorowy kurs dokształcający. W roku 1951 przerwała pracę i wyjechała na kurs bibliotekarski. Do rodzinnego Witkowa wróciła już na stanowisko bibliotekarki, odznaczona za bardzo dobre postępy w nauce.

W roku bieżącym mijają dwa lata od czasu jak wypełniła niewprawną ręką pierwszą kartę biblioteczną. Przez ten okres bibliotece przybyło 270 czytelników; ma ich w sumie 472. Zapytana, w jaki sposób udało jej się osiągnąć taki przyrost, uśmiechnęła się z zakłopotaniem:

— Właściwie... nie wiem jak to się stało...

Nie szkodzi. Wszyscy, którzy stykają się z niestrudzoną bibliotekarką z Witkowa mogą coś na ten temat powiedzieć. Zaczęła od wzrokowych form propagowania książki: sporządziła szeregi kolorowych afiszów reklamowych, ozdobionych obwolutami, z krótkim opisem atrakcyjnych pozycji, i porozwieszała je w głównych punktach miasteczka. Chwyciło. Ludzie dopytywali się o „książki z afiszów".

Natomiast próby urządzenia publicznych dyskusji nad książkami spotkały się początkowo z niepowodzeniem. Na „Gwiazdy w jeziorze" Wasilewskiej nie przyszedł nikt, na „Pawich piórach" Kruczkowskiego były aż... 4 osoby. Dopiero trzecia z kolei dyskusja nad „Pamiątką z Celulozy" udała się; czterdzieści osób na sali!

Był to wielki dzień Teresy. Jeszcze przed rozpoczęciem strasznie się denerwowała, ale gdy nauczyciel Drejza zaczął wygłaszać słowo wstępne — niepokój ustąpił. Przewodniczący koła ZMP, Sobota, zare-

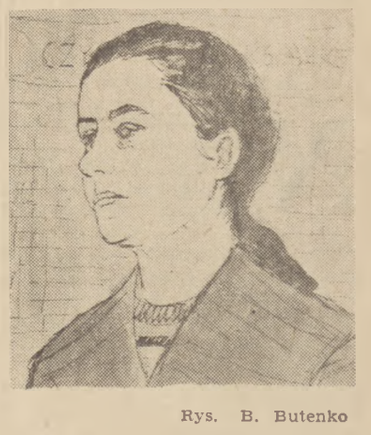

Rys. B. Butenko

cytował trzy wybrane przez nią fragmenty, które tak się podobały, iż domagano się więcej. Ona czytała, a później prowadziła dyskusję. Wieczór zakończył się wcale nie w sposób oficjalny: oto po dłuższej pogawędce na temat przeczytanych wyjątków, Teresa mówiła długo od serca o tym jakim dla człowieka przyjacielem może być książka. Przekonała.

Odtąd coraz więcej chętnych zgłaszało swą pomoc. Zorganizowała sobie „s z t a b". Na następną dyskusję o „Ludziach z za rzeki" Bartelskiego przybyło już 65 osób. Wzrastała ciągle liczba wypożyczeń, wubijali się coraz to nowi przodownicy czytelnictwa. Oto uczeń Witkowski, który rozwiązał bezbłędnie konkurs „Czy znasz literaturę radziecką", oto pięćdziesięcioletnia Pelagia Walczak, która przeczytała 50 tomów przez dwa miesiące, oto Irena Zuffdolfówna, pielęgniarka, która zwerbowała dwadzieścia stałych czytelniczek.

Kierowniczka umiała pozyskać sobie czytelników spośród byłych analfabetów. Teresa Szymańska i stary Kawka są stałymi gośćmi biblioteki. Wiedzą, że dostaną lekturę taką w sam raz dla nich — żywą, interesującą a przy tym nie żadne kolubryny na 500 stron, przez które trudno się przekopać, lecz krótkie nowele i opowiadania.

Jeśli chodzi o plany, to Frydrychowicz zamierza zorganizować „lotną" wypożyczalnię. Kilku księgonoszy wyruszy do zakładów pracy i do prywatnych mieszkań z przenośnymi biblioteczkami, z których chętni wybiorą sobie interesujące ich utwory. Pomysł godny podkreślenia, niewątpliwie przyczyni się poważnie do spopularyzowania czytelnictwa.

Ireneusz Gwidon Kamiński

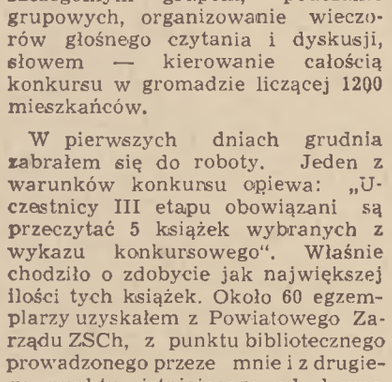

Rys. B. Butenko

świadomić", że ta wycofała się z konkursu nie tylko jako grupowa, ale i jako czytelniczka. Oświadczyła mi, że jeśli zechce czytać, to sobie wybierze książki jakie się jej podobają, te „dobre" „przedwojenne", Marczyńskiego, Mniszkówny, Pitigrillego, a nie akurat te, co w konkursie

Nad powieścią o studentach

STANISŁAW KISIECKI

W BIAŁOSTOCKIEM ROSNĄ LUDZIE...

PRAWIE rok temu dyskutowano na łamach „Wsi" nad „Pokoleniem" Czeszki. Wydaje się, że tamta dyskusja najpełniej ujawniła niezaspokojone oczekiwanie na dobrą książkę o młodzieży. W międzyczasie wyszła „Piątka z ulicy Barskiej". Jednak i te dwie pozycje nie zaspokoiły potrzeb. Świadectwem tego było szerokie zainteresowanie, jakie wywołała zapowiedź „Sztandaru Młodych" podejmującego druk „Herkulesów" Stawińskiego.

Pierwsza książka o studentach, a więc pionierski temat, z góry wiadomo, nie wolny od błędów, które należy autorowi wybaczyć. Zgoda. Ale to nie usprawiedliwia w pełni błędów.

Stawiński pisze o białostockiej Akademii Medycznej. Jednym z jego głównych bohaterów jest Józef Gandera syn chłopa z Podlasia. Studentami Akademii są w przeważającej mierze maturzyści białostockich liceów. I chociaż niektórzy krytycy pisząc o „Herkulesach" twierdzą, że „stwierdzenie autentyczności miejsca nie jest istotne — nie chodzi przecież o reportaż" — sprzeciwiłbym się temu kategorycznie. Właśnie jeśli mowa o Białymstoku to na książce niezatarty ślad powinny pozostawić konkretne sytuacje życiowe.

Już pierwsze rozdziały drukowane w „Sztandarze" wzbudziły poważne obawy. Czy Gandera, Sapiński, Wiśniewski poruszą młodzież i czy staną się postaciami, które będą miały szanse takiego oddziaływania na młodzież, które w rezultacie przyśpieszą jej dojrzewanie? Myślę, że „Herkulesy" szansę tę w dużej mierze zaprzepaściły.

Dominujący w powieści konflikt młodzieżowego dyktatora Sapińskiego i zahukanego cierpiącego na kompleks niższości Gandery jest o kilka lat spóźniony. Sam pracowałem kilka lat w organizacji młodzieżowej w jednym z białostockich liceów i nawet wówczas takie proste, by nie rzec, prostackie konflikty były w latach 1950—51 trudne do pomyślenia już w szkole średniej. Wydaje się, że Józef Gandera w licealnej przeszłości przecież aktywista ZMP jest w powieści mimowolną karykaturalną ilustracją złośliwych dowcipów o „zahukanym chłopku". A to ambitną, żywą i żądną wiedzy młodzież białostocką krzywdzi. Powróciłem przed kilku dniami z powiatu kolneńskiego. Była sobota i wąskotorówką do okolicznych wsi do rodziców wracali licealiści z Kolna. Czasu było dużo i wiele rozmawialiśmy o książkach Jeden z nich przeglądał kolejny odcinek „Herkulesów" w „Sztandarze". Kiedy go zapytałem, czy regularnie czyta odcinki powieści powiedział: — Dajcie spokój. Wolę „pamiątkę z Celulozy"!

Nie zatrzymuję się nad kwestiami zobrazowania codziennego studenckiego trudu w powieści Stawińskiego. Te środowiskowe momenty najbardziej prawdziwie przemawiają do czytelnika. Ale najcięższy zarzut wytoczyć należy przeciwko autorowi za uproszczony obraz już nie tylko pracy organizacji młodzieżowej na białostockiej Akademii, ale także za ubóstwo postaci Józka Gandery i jego rodziny na wsi. W Białymstoku studiuje wielu moich kolegów i znajomych. Żaden z nich, na szczęście, nie daje się porównać do Gandery. Czy z tego można zrobić autorowi zarzut? Myślę, że tak. Kilkanaście wyjazdów w Białostockie i szereg zaobserwowanych trudnych problemów upoważniają mnie do stwierdzenia, że zbyt powierzchownie wygląda autorska wiedza o życiu białostockiej wsi. Czyż zacofanie tego województwa nie oznacza, że teraz przy jego generalnej i postępującej naprzód przebudowie wszystkie problemy nabierają szczególnej ostrości i obfitują w dramatyczne sytuacje i spięcia? A czy można je kwitować schematem? Czy wiedząc o budowach białostockich, choćby tylko w samym mieście, jeśli już nie w Zambrowie, Augustowie czy pracach przy Bugu, można beztrosko postawić rozgraniczenie między sprytnymi ludźmi z miast jak Sapiński, a zahukanymi ze wsi jak Gandera tak jakby się na tej „ziemi w jarzmie" nic nie zmieniło?

Z równym powodzeniem można by akcję tej powieści umieścić gdziekolwiek indziej. Jeśli nie ma w niej głębokiej i trudnej — a to odpowiedzialne słowo — prawdy życiowej, jeśli zbyt łatwo i beztrosko buduje się niewymyślne szablony, czyż taka powieść „chwyci"? Daje to zgoła nieherkulesowy wynik.

Bilans tej oceny jest niewątpliwie jednostronny. Ale w Białostockiem rosną ludzie i nadal domagają się o swoim życiu książki bardziej heroicznej.

Stanisław Kisiecki

Foto CAF

TADEUSZ TOMKIEWICZ

GDZIE BIAŁOSTOCKA ZIEMIA?

CHCIAŁBYM się zatrzymać trochę nad całokształtem powieści, nim przejdę do mniej czy więcej ważnych szczegółów. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1951—1952 na nowozorganizowanej Akademii Medycznej w Białymstoku. Autor zdaje się niedaleko odbiegł od ogólnych schematów, które występują w wielu naszych powieściach i opowiadaniach tego rodzaju. Schemat ten można by streścić mniej więcej w ten sposób:

Organizacja młodzieżowa działa, pracuje, ale całym jej motorem jest jakaś jednostka. Jednostka ta musi posiadać koniecznie wygórowane, fałszywe ambicje, cechy dyktatorskie. Wszyscy się przed takim indywiduum korzą, po cichu buntują, ale słuchają jego rozkazów. Później znajduje się ktoś, kto ostro występuje przeciwko dyktatorstwu, rzuca nową myśl, którą wszyscy popierają. W rezultacie usuwają tę ambitną jednostkę z zespołu czy z organizacji i później następuje błogosławiony spokój, sumienna praca, ogólna harmonia w organizacji.

I jeszcze jedna rzecz, której oczywiście nie można pominąć milczeniem, ani.. wybaczyć autorowi. To jest sprawa znajomości wsi białostockiej i ukazania jej w powieści. Trzeba wiedzieć, że okres ten był okresem wielkich przemian na Białostocczyźnie, był okresem wydźwignięcia się tego terenu z wiekowego zacofania gospodarczego i kulturalnego. Czy zostało to dostatecznie nakreślone w powieści? Nie, wypadło raczej bardzo słabo. Zgadzam się z tym, że książka miała za cel ukazanie życia młodzieży w innym środowisku. Ale, do kaduka, przecież głównym bohaterem powieści jest właśnie chłopak wiejski, Gandera. Dlaczego więc nie zwrócić więcej uwagi na sprawy wsi ?

Autor ukazuje swego bohatera jako syna średniaka z Podlasia, który dzięki „własnym zdolnościom i nowemu ustrojowi" ukończył z dobrym wynikiem szkołę średnią i przez nią został skierowany na Akademię, bo miał „smykałkę do medycyny". Na wstępie pisze się, że Gandera był wielkim aktywistą młodzieżowym, pracował od trzech lat w ZMP, pisał referaty, wygłaszał je itp. Ale z dalszych rozdziałów wynika, że nie miał pojęcia, co to jest walka klasowa, na przykładzie własnej wsi nie mógł powiedzieć nic konkretnego. W ogóle w całej powieści uwidocznia się jakiś sztuczny podział wśród młodzieży „na miasto i wieś". A Gandera wyszedł jak jakiś chłopak z zapadłej, odciętej od świata dziury. I tu właśnie uwidocznia się brak znajomości terenu. Południowe tereny Białostocczyzny wcześniej spotkały się i wchłonęły w siebie te prądy nowego powietrza, które przeszły w latach powojennych przez polską wieś. Charakteryzuje to cyfra 42 spółdzielni produkcyjnych, istniejących już w 1950 roku na terenach Podlasia. To jest sukces nielada jak na te lata. Sukces, który świadczy o wielkim przełomie wśród chłopów. Okres ten charakteryzuje poważny wzrost czytelnictwa książek i prasy, które w roku 1951 określało się cyfrą 52 tysięcy czytelników w skali województwa. A tymczasem w rozdziałach mówiących o wsi gdzieś to zupełnie zanika. I co gorsze zetknięcie się Gandery z rodziną, jego polemiki na temat spółdzielczości są mdłe, nie mają właściwych barw i ostrości życia. A samo zachowanie się Gandery? Uwagi ludzi świadczą o nim jakby o jakimś „paniczu", studencie pochodzącym „z dobrego domu", tak często spotykanym w literaturze burżuazyjnej. Nie cieszy się tą popularnością, jaką cieszą się dziś studenci i uczniowie szkół wyższych pochodzący ze wsi.

Tak więc, mówiąc krótko, „Herkulesy" nie zaspokoiły naszych pragnień. Książka zaledwie dotyka pewnych problemów — nie zawsze pogłębia je i nie zawsze przekonuje czytelnika.

Tadeusz Tomkiewicz

W białostockich wioskach młodzież rwie się do nowego życia i kultury

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

POWIEŚĆ O STUDENTACH BIAŁOSTOCKIEJ UCZELNI

NARESZCIE mamy powieść o studentach!

Jest nią powieść „Herkulesy" Jerzego Stawińskiego. Powieść traktuje o jednej z najważniejszych stron życia studentów — o pracy organizacji zetempowskiej. Ale praca ta u Stawińskiego nie wiąże się ze wszystkimi istotnymi dla środowiska studenckiego problemami. Ukazana jest w pierwszych miesiącach istnienia uczelni jako całkowicie błędna i wypaczona, potem przełamuje się i szuka właściwych form nie mogąc rozwinąć się w pełną pracę polityczną i światopoglądową.

Jest to robota w dużym stopniu jeszcze administracyjno - organizacyjna, której decydującymi ogniwami są zebrania.

✣

Białystok. Rok akademicki 1950-1951. W pałacu Branickich powstaje Akademia Medyczna.

Z całej Polski przybywają kandydaci, a szczególnie synowie chłopów, bo to przecież tereny odwiecznej nędzy chłopskiej w przeludnionych wsiach. Autor trafnie wybiera bohatera. Józef Gandera, syn średniaka z Wolic, przybywa na uczelnię z całym bagażem obciążeń charakterystycznych dla jego środowiska. Inni też nie wchodzą na uczelnię „gotowi". Każdy ma swoje wady, opory, błędy. Uczelnia białostocka staje się dla wszystkich kuźnią charakterów, woli, nowej socjalistycznej świadomości. Stawiński stara się ukazać ten długotrwały i skomplikowany proces. Nie udaje mu się jednak pokazać najistotniejszych, głębokich zmian w świadomości bohaterów. Dlaczego? Jednym z powodów jest wycinkowość, niepełność, nawet pewna powierzchowność w potraktowaniu tematu. Stawiński zbyt nieśmiało posługuje się fikcją literacką przy dobrej znajomości konkretnego środowiska, o którym pisze. Dlatego często kształtuje charaktery, postaci i sytuacje na peryferiach głównych problemów.

Mimo faktu, że mamy do czynienia z pierwszym rokiem w I semestrze — pominięcie naukowych konfliktów światopoglądowych w opisie środowiska, które interesuje się nie tylko chemią i anatomią (jak w powieści) i to nie głównie od strony łacińskich nazw, ale także biologią, fizjologią itp jest poważnym brakiem książki.

Stawiński pokazując życie uczelni, nie pokazuje wychowawców — profesorów, asystentów. Jakie jest ich oddziaływanie na młodzież? Jak oni pomagają studentom w zdobyciu nowej świadomości i pełnych kwalifikacji, jak zmieniają się sami widząc entuzjazm i rzetelną pracę?

Rektor uczelni w ujęciu Stawińskiego miał być pedagogiem pokroju Makarenki. Jego charakterystyka jest najbardziej powierzchowna. „Wysoki, dziwnie młody" uśmiecha się przyjaźnie, uprzejmy, żyje jak studenci, bo jada w stołówce i parzy „sobie usta piekielnie gorącą zupą"... Ale jak wychowuje, jak wpływa na młodzież naukowo — nie wiemy.

Stawiński pokazuje, że celem studentów jest nauka, zdobywanie kwalifikacji i temu celowi powinna być podporządkowana praca organizacyjna. Nie pokazuje jednak, że z realizacją tego celu powinna się najściślej splatać praca polityczno-wyjaśniająca, wychowawcza, ofensywa światopoglądowa. Stawiński ukończył powieść w listopadzie 1952 r. 6-7 grudnia tegoż roku odbyła się w Warszawie ogólnopolska narada aktywu studenckiego, która postawiła przed organizacją zetempowską jako jedno z głównych zadań: rozwijać i pogłębiać ofensywę ideologiczną, walkę o światopogląd marksistowski. Uczestnicy narady — czołowy aktyw z całego kraju — stwierdzili, że dotychczasowa praca była niezadowalająca, często zbiurokratyzowana, administracyjno - organizacyjna, bez akcji politycznej i wychowawczej.

„Herkulesy" ukazują ten historyczny już etap pracy organizacji zetempowskiej na wyższych uczelniach, ale nie w świetle światowej oceny i krytyki.

✣

Bohaterowie Stawińskiego żyją, walczą, zmieniają się. Nie są to charaktery jednolite, ale skomplikowane i trudne, dynamiczne, zindywidualizowane. Gandera ze swą średniacką mentalnością nie może dojrzeć walki klasowej we własnej wsi, choć potrafi napisać o walce klasowej piękny referat na zebranie ZMP. Nie wierzy już, ale do kościoła chodzi z przyzwyczajenia. Jest trochę nieufny, trochę naiwny, cechuje go niepewność siebie, jest jednak uparty, pracowity, uczy się na błędach, przełamuje trudności, bo bardzo pragnie zostać lekarzem.

Ale ten nieprzeparty pęd do zawodu lekarza Stawiński motywuje dość nieporadnie. Gandera widział kiedyś lekarza z błyszczącą słuchawką i odtąd postanowił, że musi leczyć ludzi. Niewiele wiemy o Ganderze z czasów jego pobytu na wsi przed wstąpieniem na uczelnię. Niewiele i to rzeczy często powierzchowne Nie wiemy, kto i jak wpłynął na jego rozwój? O ile jego obciążenia światopoglądowe już wtedy przełamywały się w walce? Jaka była jego aktywność społeczna, jakie konflikty z rodziną?

Środowisko wiejskie jest zarysowane bardzo nieporadnie. Wnuk, sekretarz organizacji partyjnej, w gromadzie nic nam nie mówi. Stary Białas, były analfabeta, który nauczył się czytać i pisać od Gandery, opowiada (mimo zapewnień autora o jego fantazji i mądrości ludowej) strasznie nudną bajeczkę o mrowisku, które ma symbolizować spółdzielnię. Jedynie żywą i ciekawą postacią jest Jaśka Białasówna, która dźwiga na swych barkach całe gospodarstwo, zdolna, chce się uczyć, ale warunki indywidualnego gospodarowania na to jej nie pozwalają, kocha się, czyta gazety, należy do ZMP i chce zorganizować koło ZMP we wsi. Gandera uczęszczając do szkoły średniej przebywał we wsi, przyjaźnił się z Jaśką, ale nie on ją wciągnął do organizacji, nie on założył koło ZMP, choć zetempowcem był już od 3 lat.

✣

Z rodzinnych Wolic Gandera dostaje się po wielu trudnościach i perypetiach na uczelnię, gdzie popada w najprzeróżniejszy pod względem charakterów i pochodzenia społecznego zespół ludzi. Od razu trafia na Sapińskiego, dyktatora i pyszałka, człowieka o wybujałej, niezdrowej ambicji wodzowskiej. Pokorny, strachliwy, z kompleksami niższości i niewiary we własne siły Gandera - chłopek ściera się z zadufanym w sobie dyktatorem, który tupetem, terrorem i groźbą odstraszał wszystkich. Rysy charakteru Sapińskiego są wyraźnie przejaskrawione na „czarno". Niewiele wiemy, skąd one się u niego biorą, gdzie i kiedy się ukształtowały. W czasie okupacji był on w partyzantce w Warszawie (w jakiej, nie wiadomo, prawdopodobnie w AK). Wtedy to obcował z kolegami - spekulantami i pijakami. Na uczelni, gdy jako członek Zarządu Uczelnianego ZMP organizuje pracę na nowopowstałej uczelni, stosuje terror, otacza się ludźmi słabymi i jemu podobnymi, gnębi wszystkich i odciąga od nauki przez bezmyślne i bezprodukcyjne przeciążanie studentów pracą organizacyjną. Sam daje jak najgorszy przykład — pije, sprowadza kobiety do akademika, „siedzi w kieszeni" u Jarskiego — pijaka, chuligana, otwartego wroga. Czytelnik jest przekonany, że to wróg, dywersant, sprytna „wtyczka". Nawet po zdemaskowaniu Sapińskiego i usunięciu z funkcji, gdy przyjeżdża do domu, okazuje się na dodatek, że jest złym synem, bo wyciąga od biednej matki ostatnie grosze na... wódkę.

Samo zdemaskowanie szkodnika następuje grubo za późno. Gandera mimo buntu, znosi „ucisk" i pisze referaty, nie potrafi dotrzeć do właściwych władz, aby postawić tę sprawę mimo swego wyrobienia i stażu organizacyjnego. Również Wiśniewski, partyjniak, pozytywna postać bez oporów i wad, ale też i bez indywidualności, działa w tej sprawie dziwnie powoli, w oderwaniu od kolektywu, gdzieś tam w instancjach partyjnych, w komitetach...

Sapiński po ucieczce z uczelni wraca, zostaje przydzielony do grupy Gandery. Gandera jako sekretarz grupy ma go wychowywać. Nie może się jednak zdobyć na przełamanie niechęci do byłego dyktatora. Widząc jednak jak Sapiński staje się dobrym studentem, Gandera zmienia stosunek do swego wroga. Zaczyna mu pomagać w nauce, Sapiński pomaga mu w pracy organizacyjnej. Z czasem stają się przyjaciółmi, a w okresie przed sesją zimową, gdy wzmaga się walka o naukę i o ludzi, razem walczą z chuligaństwem, rozbijają i demaskują klikę Danikowski - Dietrich, wciągają do pracy społecznej Masłowską, dziewczynę ze środowiska mieszczańskiego, która wyraźnie zmienia swą postawę życiową... Czytelnik jednak nie bardzo wierzy w przeobrażenie Sapińskiego do końca. To skutek obfitości czarnych barw, w jakich naszkicowany został Sapiński - dyktator. Przeobrażenie jest słabo umotywowane psychologicznie, jeszcze słabiej — w działaniu bohatera. Podstawowym jego motywem jest groźba wyrzucenia z uczelni i z ZMP.

Przy kreśleniu postaci Gandery Stawiński również nie wykorzystał szansy pełnego pokazania przeobrażeń jego świadomości, procesu wyrugowania obciążeń religijnych i nabytych w jakimś stopniu nawyków chłopa - posiadacza. Książka jedynie ociera się o ten problem.

Na uczelni Gandera nauczył się myśleć po nowemu, po nowemu oceniać świat i ludzi.

Ale jednocześnie z tą prawdą autor ukazuje trafnie u Gandery złą tendencję do odrywania się od wsi, machania ręką na ciemnotę z której wyszedł. „Mają swoje życie! Dobrze, ja mam też swoje, ciekawsze!"

✣

Problem walki klasowej w „Herkulesach" jest zepchnięty na boczne tory. Odbywa się walka z chuligaństwem, sobkostwem, przede wszystkim na płaszczyźnie moralno - obyczajowej. Politycznej i ideologicznej ofensywy wroga nie widać. Również konflikt miłosny potraktowany został trochę w oderwaniu od podłoża ideologicznego powieści. Pomijając to, że Gandera ze swym trudnym charakterem trochę nieufnym uczułby raczej niechęć i lekceważenie dla „mieszczańskiej laleczki" Danusi, która go w tak rozbrajająco naiwny sposób „uwodzi", wydaje się, że sam zawód miłosny bohatera został pokazany zbyt wyłącznie jako doświadczenie życiowe, a mógł być potraktowany więcej jako doświadczenie polityczne.

Są w powieści partie mocne, które stanowią zalążek spraw najistotniejszych dla problematyki aktualnej naszych uczelni.

Okres przed sesją zimową, okres konsolidacji aktywu wokół organizacji, jego troska o naukowe przygotowanie grupy, o Wałacha i innych oraz ostry atak na wrogów, demaskowanie ich sobkostwa, szkodnictwa i wrogości ideologicznej jest tego dowodem.

Sapiński i Gandera atakują Danikowskiego i Dietricha, a wtedy nawet Wałach, ten Gandera podniesiony do potęgi, zajmuje zdecydowane stanowisko: ....„nie potrzebuję łaski tych kolegów... i sam się nauczę. Ja mam też do nich niechęć... Klasową".

Wtedy w Ganderze wzbiera szlachetna pasja: „Nauczyć tych maminsynków rozumu!" Nie „metodami sapińszczyzny", ale przy pomocy i poparciu opinii wszystkich uczciwych studentów. Tu zaczyna się u Stawińskiego kształtowanie kolektywu, kolektywnej pracy, walki, nauki, wychowywania wzajemnego.

Niestety, są to ostatnie strony książki...

A więc zagadnienie zostało poprzedzone perypetiami właściwymi uczelni białostockiej, zasygnalizowane w trakcie ukazywania dróg przezwyciężania błędów „sapińszczyzny", i pozostało otwarte. Pełna powieść o studentach czeka dopiero na swego twórcę. Musi to być powieść o kolektywie studenckim, uczącym się, walczącym, zmieniającym się w gorących dyskusjach, wychowywanym przez profesorów i asystentów, przez partię i ZMP.

✣

Niedopracowanie przez Stawińskiego koncepcji ideowej akcji i wątków odbiło się na konstrukcji i fabularnym układzie powieści. „Herkulesy" to powieść o studentach białostockiej uczelni, o ile zatem autor słusznie wykorzystał literacko fakt pomieszczenia akademii w pomagnackim pałacu, o tyle niepotrzebnie i w nie uzasadniony sposób stworzył z tego konwencjonalne ramy. Wstępny rozdział pt.: „Rok 1768" można by darować zupełnie.

Gubienie się w szczegółach mało ważnych (np. wędrówki Gandery po komitetach) powoduje często dłużyzny.

Momenty kulminacyjne, np. przeżywanie zawodu miłosnego przez Ganderę stara się Stawiński uwypuklić wartkim tokiem opowiadania. Ale tok ten przeradza się w karkołomne wykrzykniki, w których gubi się całkowicie prawdziwe ludzkie przeżycie Gandery, a wyziera tania sensacja.

Nie można powiedzieć o powieści Stawińskiego, że odznacza się żywym i dowcipnym, prawdziwie studenckim dialogiem i językiem. Rażą używane często zwroty „urzędowe" w rodzaju „kolego Gandera".

Dialogi też bywają nieporadne i banalne, np. dialog Wiśniewskiego z Ganderą o miłości i jej wartości (str. 217-218).

Mimo jednak tych czy innych wielu błędów książka Stawińskiego stanie się z pewnością przedmiotem żywych dyskusji studenckich i zachęci pisarzy do podejmowania ciekawych i trudnych tematów z życia studentów.

Bronisław Gołębiowski

*) *Jerzy Stefan Stawiński — Herkulesy. Wyd. „Iskry". Warszawa 1953 r.*

JANUSZ KUCZYŃSKI

O czynie Mikołaja Kopernika

W 410 ROCZNICĘ WYDANIA „DE REVOLUTIONIBUS"

APEL jest do wszystkich. Słowa jego docierają do serca Chińczyka, którego dumę ze swego Czu-Juana potęguje myśl o wielkim synu dalekiej Polski. O nim słowa pochwały głosi umysł Rosjanina. A do kolorowych, ale mrocznych jeszcze wybrzeży Afryki, słowa apelu niosą po raz pierwszy jego imię. Dla Murzyna gnębionego angielskim terrorem, dla walczącego o wolność Vietnamczyka, dla francuskiego dokera i sycylijskiego chłopa imię jego wiąże się ze sprawą pokoju. Bo nieodłączna jest od sprawy pokoju sprawa nauki i kultury. Narody walcząc o pokój nie tylko chronią kulturę przed zagładą, narody znajdują w niej pomoc przeciwko barbarzyństwu. Wielkie postacie przeszłości uczestniczą dziś razem z nami w walce przeciwko „współczesnej" ciemnocie i zacofaniu, krzywdzie i niewoli. Wśród nich jest ten, którego imię Światowa Rada Pokoju wypisała na swych sztandarach — wielki polski uczony — M i k o ł a j K o p e r n i k.

Gdy Tomasz z Akwinu wrócił ze swej pustelni, gdzie na polecenie papieża Urbana IV „przystosowywał" Arystotelesa do religijnych potrzeb, kościół ostatecznie uwieńczył swe dzieło, zaczęte w XI w. przez biskupa Anzelma z Aosty i Alberta hrabiego von Bollstaedt. Starożytna myśl grecka, która szczyt swój osiągnęła w filozofii Arystotelesa, pozbawiona została swej treści. „Kler zabił w Arystotelesie to, co żywe, a uwiecznił to, co martwe" — mówi Lenin.

Rozum zgwałcony i skrępowany przepisami scholastyki zaprzęgnięto w służbę wiary. Nauka stała się pokorną służebnicą teologii. Tych, którzy odważyli się przekroczyć granice kościelnych zakazów, czekały podziemia inkwizycji. Umysłom narzucano więzy, wtłaczano religijne wyobrażenia, rozbrajano z woli walki i buntu. Zhierarchizowana feudalna drabina uzupełniana była geocentrycznym wszechświatem. Na szczycie planetarnych sfer i hierarchii aniołów — Bóg. Na szczycie hierarchii ziemskiej — świeccy i duchowni feudałowie. A na samym dnie tej klatki, zbudowanej przez kościelne wyobrażenia, znajdował się *feudalny chłop.*

Myśl uczonych zakuto w kajdany scholastycznych ograniczeń. Zadaniem jej było nie badanie przyrody, ale „dowodzenie" teologicznych „prawd".

Była to epoka niewoli rozumu, panowania zabobonu i przemożnej dyktatury kościoła.

Ale gdy nieustanny rozwój sił wytwórczych i walki klasowe buntującego się ludu zaczęły podważać ekonomiczną podstawę feudalnego społeczeństwa, w Europie poczęła się nowa epoka. Rozpoczęto walkę przeciwko uświęconym instytucjom, atakowano średniowieczny sposób myślenia i średniowieczne wartości. Kształtowała się kultura Odrodzenia.

Polska przeżywała rozkwit. Uniwersytet krakowskiej stolicy słynął w całej Europie. Głośne były nazwiska filozofów i uczonych: Grzegorza z Sanoka, Sebastiana Patrycego z Pilzna, Wojciecha z Brudzewa, pisarzy i działaczy politycznych: Kallimacha, Ostroroga, Modrzewskiego, poetów Janickiego, Reja i Kochanowskiego. A wśród nich największy syn polskiego Odrodzenia — Mikołaj Kopernik. Gdy 410 lat temu wyszło w świat „De revolutionibus" („O obrotach") zadanie wyzwolenia rozumu z więzów średniowiecznych przesądów zostało dokonane.

Wykazując fałszywość geocentrycznego systemu Ptolomeusza i wykrywając prawdziwy obraz budowy świata, dokonał Kopernik największego w dziejach nauki odkrycia przyrodniczego. Ale światopoglądowa doniosłość czynu polskiego uczonego przekracza granice astronomii i nauk przyrodniczych. Engels pisze: *„Czynem rewolucyjnym, przez który przyrodoznawstwo ogłosiło swą niezależność... było wydanie nieśmiertelnego dzieła, którym Kopernik... rzucił rękawicę kościelnemu autorytetowi w sprawach przyrodniczych. Odtąd datuje się wyzwolenie nauk przyrodniczych od teologii".*

Zburzenie geocentryzmu zadało potężny cios teologii. Każda religia, a najbardziej chrześcijańska, jest geocentryczna. Bo czy „...wielki dramat upadku i odkupienia człowieka, w którym brał udział Syn Boży, mógł dokonać się na jakiejkolwiek małej scenie, a nie w centrum wszechświata?" — oburza się jeszcze dziś Jeans. Odkrycie Kopernika poderwało te podstawy. Od czasu wydania „De revolutionibus" religia straciła wszelkie „rozumowe", „przyrodnicze" uzasadnienia. Przed oczami wyzwalającej się ze średniowiecza ludzkości zawalił się świat scholastycznych wyobrażeń. Człowiek nie dostrzegał już nad sobą klatki astronomicznych konstrukcji i męczących „niepotrzebnych dodatków".

Zniszczono astronomiczne uzupełnienie i przedłużenie feudalnej hierarchii. Ale kto burzył „porządek niebieski", ten wskazywał uciskanym, że można burzyć „porządek ziemski". Kopernik swą krytyką „nieba" ułatwił i przyczynił się do krytyki ziemskich podłości: nieludzkiego wyzysku i oszukiwania chłopów, szerzenia wśród nich przesądów i ciemnoty, gnębienia myśli naukowej i hamowania jej rozwoju.

Kolumb i Magellan odkryli Ziemię. Ale prawa nadał jej Kopernik; dawniej wtłaczana na samo dno wszechświata, była „miejscem cierpienia i wyrzeczeń, przez które droga prowadzi do nieba". Uczony polski zniszczył fikcyjną przepaść między „złą ziemią" a „doskonałym niebem". Odkrył prawdziwy, rzeczywisty świat słońca i planet. Ziemia stała się jednym z milionów niebieskich ciał; jej mieszkaniec — człowiek — cząstką wszechświata i gospodarzem swej bogatej, płodnej, urodzajnej planety. Ziemi nadawano ruch we wszechświecie; świadomość jego ożywiła umysły, przyspieszyła ziemski ruch życia ludzi.

Dzieło Kopernika było wyzwalające. Dokonać go mógł tylko umysł wielki i swobodny. *„Kopernik, to człowiek wielkiego geniuszu i co w zagadnieniach astronomicznych specjalnie ważne — swobodnego myślenia"* — mówił Kepler. Wielki polski uczony był nowatorem. Odrzucił stojące na drodze badań naukowych, tamujące je, scholastyczne zakazy i kościelne autorytety. Badał przyrodę i prawdziwe było dlań tylko to, co było z nią zgodne. Posłuchajmy słów Józefa Stalina: *„Nauka dlatego właśnie nazywa się nauką, że nie uznaje fetyszów, nie boi się podnieść ręki na to, co się przeżyło, co jest stare, i że czujnie przysłuchuje się głosowi doświadczenia, praktyki. Gdyby było inaczej, nie byłoby, powiedzmy, astronomii i wciąż jeszcze musielibyśmy poprzestawać na zmurszałym systemie Ptolomeusza, nie mielibyśmy biologii i wciąż jeszcze pocieszalibyśmy się legendą o stworzeniu człowieka, nie mielibyśmy chemii i wciąż jeszcze poprzestawalibyśmy na zaklęciach alchemików".* (Przemówienie na I Wszechzwiązkowej Naradzie Stachanowców 17.XI. 1935 r.).

Odkrycie polskiego uczonego, to triumf nauki nad teologią. *„...Kopernik udziela dymisji teologii"* — mówi Engels. To zwycięstwo rozpoczynało epokę nowożytnej nauki, rzucało fundament pod materialistyczne pojmowanie wszechświata.

Płonący stos Giordano Bruno rozpoczął jawny atak kościelnego obskurantyzmu i wstecznictwa przeciwko nauce Kopernika. Nowańczyk ginął za głoszenie wśród włoskiego ludu prawdy o wszechświecie. Przerażający widok płonącego na stosie człowieka nie zatarł się jeszcze w pamięci mieszkańców „świętego miasta", gdy kongregacja kardynałów umieściła na indeksie ksiąg zakazanych dzieło Kopernika. Tych, którzy bronili nauki wielkiego Polaka, inkwizytorzy starali się rzucić na kolana przed autorytetem biblii, zmusić do milczenia. W 1633 roku w więzieniu weneckiej inkwizycji przysięgał Galileusz. Z nakazu katolickiego kościoła z uniwersytetów Europy usuwano wszelki ślad kopernikowskiej myśli. Jezuita w napadzie pasji wykrzykiwał: „Ze wszystkich herezji *nauka o ruchu Ziemi* jest jedną z najbardziej śmiesznych, najbardziej zgubnych, najbardziej skandalicznych. Łatwiej można by znaleźć dowody przeciw nieśmiertelności ludzi, istnieniu Boga i wcieleniu Chrystusa, *niż dowód ruchu Ziemi*".

Wstecznictwo święciło chwilowy triumf. Ale nauki nie można zniszczyć, ani zatrzymać jej rozwoju. Teoria Kopernika staje się symbolem postępu nauki, symbolem walki z obskurantyzmem kościoła i wszelkich wstecznych sił. Jego imię wypisano na sztandarach materialistycznej filozofii i wielkiego przyrodoznawstwa Włochów Giordano Bruno i Galileusza, Niemca Keplera i Anglika Newtona, Francuzów Kartezjusza i Fontenelle'a, Rosjanina Łomonosowa, ojczystych kontynuatorów — Heveliusza i Śniadeckiego, Kołłątaja i Staszica.

Dzieło jego nazwał rewolucyjnym Engels, a za wzór stawiał je Stalin.

Burżuazja stara się pomniejszyć zasługi naszego największego uczonego. Dla ginącej wstecznej klasy społecznej, materialistyczna treść nauki Kopernika jest nie do przyjęcia. Burżuazji potrzebne są przesądy i fałsze, a dla tych nie ma miejsca tam, gdzie triumfuje myśl wielkiego polskiego uczonego.

Lud polski budując dziś własną, socjalistyczną kulturę, opiera ją na najlepszych tradycjach przeszłości narodu i włącza do niej wszystkie wartościowe, trwałe osiągnięcia, przykłady postępowych i rewolucyjnych czynów. Wśród nich czołowe miejsce zajmuje wielki czyn polskiego uczonego — wyzwolenie nauki z więzów teologicznych ograniczeń. Sięgamy do jego tradycji, bo one uczą nas dziś, że myśli ludzkiej trzeba wskazywać drogę naprzód, rozwijać ją, zwalczać przesądy i błędy. Uczą one nas tego, że prawda nauki nierozdzielnie związana z postępem społecznym toruje sobie drogę pomimo największych oporów wstecznych sił, ich kłamstw i terroru. Uczą nas dumy narodowej: piękna bowiem jest postać jednego z największych uczonych świata, który był *rewolucjonistą nauki, humanistą wszechstronnym i polskim patriotą.* Jego nauka i jego tradycje są dziś z nami w walce o nową kulturę, o nieustanny postęp nauki, o prawdziwe spojrzenie na świat.

Kopernik nie tylko otworzył nam drogę do dzisiejszego wszechświata miliardów gwiazd, wszechświata galaktyk i mgławic. Gdy przyrodnik - miczurinowiec zakłada sad na dalekiej, mroźnej, syberyjskiej północy, gdy polski robotnik i inżynier budują o kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym młody Toruńczyk zaczynał tworzyć „niebieską rewolucję', ogromne socjalistyczne miasto, gdy uczony i działacz partyjny walczą o naukowy światopogląd studenta, włókniarza, chłopa — to u podstaw ich wysiłków jest też cząstka wielkiego czynu polskiego uczonego, który zbudował prawdziwy obraz świata, zniszczył przesądne wyobrażenia, ruszył ziemię ze średniowiecznych posad i otworzył drogi wspaniałemu rozwojowi nauk.

Janusz Kuczyński

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

OPOWIEŚĆ PRZYSZŁEJ NAUCZYCIELKI

Przedszkole — miedze wsi podlaskiej,
Gdziem dzieciak blady i niezdrowy,
Co świt spędzana z pryczy paskiem
Pasała gospodarskie krowy.

Cóż że kaczeńce, chabry, bociek —
Ów poetyczny świat mieszczucha,
Gdy nogi stale grzęzną w błocie,
A wiatr za sukienczynę dmucha.

Chłoptyś roztropny i wesoły,
Gryząc niedbale kawał ciasta,
Szedł gospodarski syn do szkoły.
Chłoptyś na pana tam wyrastał.

Jak to się gospodarstwo śmieli,
Jak się obojgu trzęsły brzuchy,
Gdy zimą którejś tam niedzieli
Znaleźli książkę u pastuchy.

I tylko bym umiała baśki
W bibułki stroić na Palmową,
I szeptać w szary mrok zdrowaśki,
I wiechciem boki czyścić krowom.

I sługa cicha i nieśmiała,
Co lęka się własnego cienia,
Słuchać z pokorą bym umiała
Gospodarskiego złorzeczenia.

Ale Ludowa Polska przyszła —
Ojczyzna robotnika, chłopa —
Zawrzała praca w stu przemysłach
I lemiesz tysiąc miedz rozkopał.

I blada Ceśka komornicy,
Którą los niegdyś z biedą swatał,
W uczniowskiej bluzce przy tablicy
Odrabiam zmarnowane lata.

Często przychodzą listy ze wsi —
Gdyż mieszkam w mieście, w internacie.
List, jak list, wszystko chciałby zmieścić:
Więc piszą mi, że radio w chacie.

Że jutro pójdą wspólnie kosić
(Tu kilka słów „sercowych" marzeń),
Że na spółdzielnie się zanosi,
Choć bruździą wielcy gospodarze.

Niedługo — czas jak wiatr przeleci —
Powrócę, aby tam, nad Liwcem,
Uczyć podlaskie nasze dzieci
Wydarte krzywdzie i szczęśliwe.

STANISŁAW DZIECHCIARUK

FILM O BOHATERZE NARODOWYM

„WOJSKO Polskie stworzyła Partia i ona jest źródłem jego męstwa... Chwała Partii!" Tak brzmiał fragment historycznego już dziś telegramu wysłanego Partii przez generała Karola Świerczewskiego 10 maja 1945 roku. Zawarta jest w nim głęboka prawda o naszym bohaterze.

Tę prawdę o życiu i walce Karola Świerczewskiego mówi nam także nowozrealizowany film polski pt. „Żołnierz zwycięstwa". I to jest, powiedzmy to już teraz, wielką zasługą jego twórców.

Zamierzenia scenariopisarskie „Żołnierza zwycięstwa" poszły po linii stworzenia dwuseryjnej epopei biograficzno - historycznej. Świadczy to o ambitnej postawie twórczej ich autorki. Fakt ten nakłada również obowiązek stosowania, właściwych temu rodzajowi filmowemu, norm oceny.

„Żołnierz zwycięstwa" posiada wyraźną koncepcję strukturalną: ukazuje chronologicznie kolejne wydarzenia historyczne — etapy życia i walki Karola Świerczewskiego od lat dziecięcych aż do chwili jego śmierci.

Rewolucja 1905 roku, wojna światowa w roku 1914, Wielka Rewolucja Październikowa, rok 1936 w Hiszpanii i druga wojna światowa — to wydarzenia składające się na wielką panoramę historyczną filmu.

Jasno zarysowana jest również zasadnicza koncepcja dramaturgiczna filmu. Wyznaczają ją dwie linie: walka o wyzwolenie mas pracujących spod jarzma kapitalizmu i faszyzmu i obóz zwyrodniałych faszystów najróżnorodniejszego autoramentu.

Z odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu twórcy filmu potrafili sprostać zadaniu, jakie wypływało z tak ustawionej koncepcji tematycznej i dramaturgicznej, wyłaniają się zasadnicze osiągnięcia i niedostatki „Żołnierza zwycięstwa". W stosunku do znacznej części obrazów jakie ukazuje film, można postawić zarzut zbyt daleko posuniętej selekcji materiału biograficznego.

Chwilami wyczuwa się jakby ucieczkę przed codziennymi, „małymi" realiami. Ma to doniosłe znaczenie szczególnie w serii pierwszej, gdzie zjawisko to obserwujemy dosyć wyraźnie.

Takie sceny jak: naklejanie ulotek SDKPiL, demonstracja robotników na ulicach Warszawy w roku 1905, praca w fabryce, Rewolucja Październikowa i pobyt w Moskwie wyznaczają niewątpliwie zasadnicze etapy w rozwoju ideologicznym Świerczewskiego.

Nie dają nam jednakże pełnego obrazu wyrastania wielkiego bojownika o sprawę uciskanych narodów, nie ukazują pełnego życia naszego bohatera.

O ile materiał dokumentalno - historyczny znalazł tu możliwie pełny wyraz, o tyle codzienne „prywatne" życie Świerczewskiego przedstawia się dosyć ubogo.

Wymienione sceny nabrałyby znacznie większej siły, wyrazistości i bezpośredniości, gdyby przedstawione w nich fakty historyczne przetransponowane zostały w większej mierze, aniżeli się to stało, na wydarzenia bardziej powszednie.

Braki te w znacznym stopniu wyrównuje seria druga.

Przy kreśleniu postaci Świerczewskiego nie wykorzystano niemal zupełnie wielkich możliwości, jakie podsuwała tu metoda charakterystyki pośredniej. Wszak postać generała Świerczewskiego, bohatera z okresu wojny domowej w Hiszpanii jest równie droga dla nas jak i dla narodu hiszpańskiego. Świadczy o tym chociażby wymówione z miłością i znane powszechnie określenie: „el generalle Polacco" — polski generał. Film nic nam o tym nie mówi. Nie wykorzystano w pełni również, stworzonej, jakby się wydawało m. inn. i w tym celu, postaci przyjaciela Stefana Pawłowskiego.

Owa „ucieczka" przed „małymi" realiami powoduje m. in. także pewne zagubienie fabuły, jakie zaobserwować można szczególnie w części pierwszej filmu.

Akcję filmu cechuje zbytni pośpiech. Szybkie zmiany miejsc akcji przy słabo rozbudowanej fabule stwarzają widzowi w pierwszej chwili pewne niejasności (zwłaszcza w części pierwszej).

Ów pośpiech powoduje nadmierną kondensację obrazu artystycznego i nazbyt skrótowe przedstawianie niektórych scen. Tak np. w doskonałych skądinąd scenach batalistycznych brak niemal zupełnie nieprzyjaciela.

Osłabia to siłę dramatyczną tych scen, a samym faktom nadaje charakter nieco symboliczny.

Nasuwa się pytanie, gdzie tkwi źródło tych niedociągnięć.

Zamiar objęcia nawet w filmie dwuseryjnym niemal pięćdziesięcioletniego okresu brzemiennego w wydarzenia o doniosłym znaczeniu dziejowym krył w sobie niebezpieczeństwo tych niedostatków. Czy nie należało skoncentrować uwagi na jednym okresie życia Świerczewskiego i raczej zrezygnować z pełni czasowej na rzecz pełni faktycznej, ideowo-artystycznej, jak to się dzieje np. w „Czapajewie"?

Jest to, jak się wydaje, problem do dyskusji.

Nic bowiem nie może przysłonić wielkich wartości „Żołnierza zwycięstwa". I właśnie owe wartości każą nam wierzyć w możliwość przezwyciężania omawianych niedostatków również w ramach istniejącej koncepcji filmu

*

„Żołnierz zwycięstwa" urzeka widza wielką prawdą i głęboką ideowością. Ta ideowość widoczna jest niemal w każdej scenie i postaci. Ona też przenika bohaterskie czyny generała Świerczewskiego. Wychowany w szeregach partii i klasy robotniczej, całe swoje życie poświęca walce o sprawę ludu. Za tę sprawę również ginie od skrytobójczej kuli faszystowskiego bandyty.

Głęboki humanizm socjalistyczny, gorący patriotyzm i internacjonalizm — to zasadnicze rysy, przy pomocy których realizatorzy filmu potrafili wydobyć całą prawdę o postaci generała Świerczewskiego. Te cechy pozwalają bohaterowi naszemu związać się nierozerwalnie z klasą robotniczą, ukochać własny naród i walczyć o wolność innych narodów. Obok głównego bohatera przedstawia „Żołnierz zwycięstwa" szereg postaci dalszoplanowych, stanowiących uosobienie cech nowego człowieka - rewolucjonisty.

Na czoło wysuwa się tu zwłaszcza postać Stefana Pawłowskiego, jego córki Wali i majora Bienia. Są to ludzie bezgranicznie oddani sprawie rewolucji. Ale rola filmu nie wyczerpuje się w ukazaniu postaci pozytywnych. „Żołnierz zwycięstwa" pełni również doniosłą funkcję demaskatorską w stosunku do wroga zewnętrznego i wewnętrznego.

Ukazuje jak faszyzm torował sobie drogę dzięki takim postaciom jak przemysłowiec niemiecki von Ballen. Jak usiłował on zapuścić korzenie i w Polsce Ludowej drogą szpiegowsko - dywersyjnych knowań takich osób, jak Terecki i Liciński.

Film o generale Świerczewskim jest również wielkim osiągnięciem scenograficznym, operatorskim i aktorskim.

Duża rozpiętość czasowa i przestrzenna akcji filmu zmuszała scenografa niejednokrotnie do tworzenia, jedynie w oparciu o materiały dokumentacyjne, całych obrazów i scen.

Postać bohatera filmu — Karola Świerczewskiego — w interpretacji Józefa Wyszomirskiego nabrała cech głęboko realistycznych. Dominuje w niej wielka prostota oraz naturalna monumentalność.

Ten pobieżny przegląd zasadniczych braków i zalet „Żołnierza zwycięstwa" każe nam widzieć w nim nowe wielkie osiągnięcie kinematografii polskiej na drodze do pełnego realizmu socjalistycznego.

Stanisław Dziechciaruk

LESZEK MECH

ŚLĄSK

Transparentami dymów co świt
Wschodzisz, Ojczyzno mej młodości.

Rytm klasycznego poematu
W parowych młotów uderzeniach
Słyszę. A noc ma kształt płomienia,
Który nam wczoraj do ataku
Przeciw faszystom iść rozkazał,
I ręce, serca mieć z żelaza.

Patrzę jak z okien domów nowych
Śmieją się dzieci do robotnic.
W chodniku kopalnianym rębacz
Mięśnie maszyną ustokrotnił
I tylko oczu błysk spod powiek
Wciąż czuwa nad odstrzałem węgla.

W laboratoriach naukowych,
W salach doświadczeń i pomiarów
Siwieją nad przyszłością głowy
Z martenów tryskającą stalą.

Jutro jabłoniom, górskim sosnom
Pomoże człowiek w hałdy wrosnąć.

Jutro tym z kopalń, tym z odlewni
O dłoniach jak szlifierki pewnych
Zabłyśnie czysty nieba diament,
W którym się promień nie załamie.

Tu niewyspane jeszcze żony
Częstują pocałunkiem mężów.
Tu, w kuchniach, pod garnkami płomień
Jak fala syczy, tli się, pręży.
Tu górnik, hutnik marzą co dzień
O białym domku i ogrodzie.

Tu setki świdrów, lokomotyw,
Umuzycznione w hutach młoty
Ziemi tej spocząć nie pozwolą,
Ziemi — co chlebem jest i solą.

1953

Z dziennika podróży do ZSRR

PIOTR WIECZOREK

Wychowanie politechniczne — ruch miczurinowski

Nasza piętnastoosobowa delegacja polskich nauczycieli, która przebywała w Związku Radzieckim od 28 stycznia do 26 lutego, zaznajomiła się z życiem i pracą szkół radzieckich, placówek pozaszkolnych, domów dziecka i przedszkoli oraz działalnością instytucji naukowych. Co do mnie, ze szczególnym zainteresowaniem przyglądałem się realizacji w ZSRR *wychowania politechnicznego.*

Towarzysz Stalin, omawiając w „Ekonomicznych problemach socjalizmu" trzy podstawowe warunki przejścia od socjalizmu do komunizmu, wskazał:

...„Trzeba po trzecie osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który zapewniłby wszystkim członkom społeczeństwa wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, ażeby członkowie społeczeństwa mieli możność uzyskania takiego wykształcenia, które pozwoliłoby im stać się aktywnymi działaczami rozwoju społecznego, ażeby mieli oni możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie, wskutek istniejącego podziału pracy, do jakiegoś jednego zawodu"...

Tak więc *trzeci* warunek przejścia od socjalizmu do komunizmu wiąże się wyraźnie z wychowaniem *politechnicznym*, którego celem jest, jak mówił minister oświaty RSFSR, tow. I. A. Kairow, na audiencji 31 stycznia br., *„dać uczniowi podstawy techniki i praktyczne nawyki, aby mógł wiedzieć, czym się zajmują ludzie danego zawodu i jaka istota pracy w danym zawodzie".*

Władza radziecka realizując wytyczne Towarzysza Stalina i postulaty XIX Zjazdu KPZR podjęła wysiłki w celu *pełnej realizacji* wychowania politechnicznego w szkołach.

Opracowano metodykę 5-ciu zasadniczych typów wycieczek szkolnych: 1) wycieczki w celu zaznajomienia ucznia z organizacją współczesnej produkcji; 2) wycieczki, których celem jest pokazanie źródeł energii i zapoznanie uczniów z zasadniczymi typami silników (elektrycznego i spalinowego); 3) wycieczki, zaznajamiające uczniów z procesem przekazywania energii odbiorcom i z typami transmisji (od źródła energii do odbiorcy); 4) wycieczki, wprowadzające w technikę obróbki materiału (metalu, drewna, szkła i innych); 5) wycieczki, zmierzające do zaszczepienia nawyków pracy.

Wiele uwagi poświęca się działce doświadczalnej przy szkole. Została w tej sprawie wydana specjalna Uchwała Rządu, zobowiązująca każdą szkołę do prowadzenia przyszkolnej działki rolniczej. Uchwała ta głosi także, że urodzaj na działce nie może być gorszy niż w sąsiednim kołchozie.

Na działkach przyszkolnych pracują kółka młodych miczurinowców-naturalistów. Pracą kółek młodych miczurinowców kierują (centralne — republikańskie i obwodowe — wojewódzkie) stacje agrobiologiczne. Stacja centralna organizuje również republikańskie zloty młodych miczurinowców, poprzedzane zlotami rejonowymi (powiatowymi) i obwodowymi (wojewódzkimi), na których dokonuje się oceny pracy i wytycza nowe zadania.

W zlotach biorą również udział nauczyciele biologii, agronomowie, uczeni, przodownicy pracy w kołchozach, tzw. mistrzowie urodzaju i laureaci Nagrody Stalinowskiej. Zlot republikański jest wielkim świętem dla pionierów, którego centralną częścią jest wystawa, ilustrująca osiągnięcia nad udoskonaleniem gatunków zwierząt i roślin.

Młodzi miczurinowcy obwodu dniepropetrowskiego mają poważne osiągnięcia szczególnie w dziedzinie hodowli jedwabników. Młodzi miczurinowcy obwodu dniepropetrowskiego zajęli się studiowaniem wpływu pokarmu na wyniki hodowli jedwabnika. Oprócz 6 gatunków morwy wprowadzono doświadczalne karmienie jedwabników liśćmi dębu, buku oraz brzozy.

Jak wykazały doświadczenia młodych miczurinowców, liście buku okazały się doskonałym pokarmem dla tzw. „jedwabnika dębowego". Jedwabnik dębowy, karmiony liśćmi buku, daje nici o wiele mocniejsze i trwalsze. W związku z tym przechodzi się na karmę tego jedwabnika liśćmi bukowymi. Stacje agrobiologiczne przy współdziałaniu kółek miczurinowskich przeprowadzają obecnie prace w kierunku zmiany formy kokona.

Duże osiągnięcia mają młodzi miczurinowcy na polu otrzymywania nowych gatunków kukurydzy i pszenicy metodą krzyżowania oraz szczepienia nasion.

Niedojrzałe nasienie pszenicy lub kukurydzy przeszczepia się na kłos innego gatunku.

Przeszczepione ziarno, które wzrastało i dojrzewało na kłosie innego gatunku, nabiera cech obu gatunków i daje nową odmianę.

Jeśli jeden z gatunków skrzyżowanych rodził duże ziarna przy małych kłosach, a drugi małe ziarna przy dużych kłosach, to mieszaniec (nowa odmiana) posiada i większy kłos, i większe ziarna, a więc cechy obydwóch, z których powstał.

Krzyżowanie przeprowadza się również na różnych gatunkach królików, świń i innych zwierząt. Program pracy kółka miczurinowskiego oparty jest na programie biologii danych klas i wchodzi w zakres planu dydaktyczno-wychowawczego szkoły, który zatwierdza dyrektor (kierownik szkoły).

Przy końcu roku szkolne kółka miczurinowców organizują przy swych szkołach „święto urodzaju". Uczniowie otrzymują wówczas część plonów dla siebie i dla gości, którzy biorą udział w uroczystości. Dochód z działki miczurinowskiej przeznacza się na mocy uchwały członków kółka na wyposażenie gabinetu biologii, a w miarę potrzeby na pomoc materialną uczniów. Uchwałą zatwierdza to dyrektor (kierownik) szkoły. Wielkość działki dla szkół 10-letnich wynosi 1 do 2 ha. Bywają jednak i takie szkoły 10-letnie, które mają działki o powierzchni 5 — 16 ha, zależy to od tego, czy szkoła posiada warunki do pełnego ich wykorzystania.

Miczurinowska działka przyszkolna prowadzi zazwyczaj wszystkie rodzaje kultur, lecz jednej z nich poświęca szczególną uwagę.

W ramach działalności kółek miczurinowskich prowadzone są również zajęcia z zakresu walki ze szkodnikami w rolnictwie, a jednym z zagadnień tego działu prac, nad którym pracują kółka, jest poznanie ptaków pożytecznych i opieka nad nimi. W jednym tylko obwodzie stanisławowskim uczniowie rozwiesili 70.000 sztucznych gniazd.

Literaturę piękną również wzbogaca się pozycjami, ukazującymi walkę człowieka o postęp techniczny w różnych dziedzinach jego pracy. W tworzeniu takiej literatury obok pisarzy biorą aktywny udział również naukowcy i nauczyciele. Przykładem dobrej książki w tym zakresie może być „Powieść o kamieniu" Fersmana lub Uspieńskiej „Nasze lato" *). Ogłoszony został konkurs na napisanie książek dla młodzieży szkolnej w zakresie literatury pięknej i popularno-naukowej z różnych dziedzin nauki i pracy naukowej.

Piotr Wieczorek

**) W następnym numerze omówimy powieść Uspieńskiej „Nasze lato", która ukazała się w przekładzie polskim w ostatnim numerze „Literatury Radzieckiej". (Red.)*

WACŁAW PALIK

„TEMATÓW MAM PEŁNĄ GŁOWĘ"

Mieszka we wsi Włoszakowice (pow. Leszno). Ma lat 35, rodzinę już sporą: żona, czworo dzieci (od 3 miesięcy do 6 lat). Ma tyle dzieci, ile jego ojciec, który był wiejskim cieślą. On jest gminnym drogomistrzem. A kierował go kiedyś ojciec do terminu u stolarza. Termin przerwały podczas okupacji „roboty przymusowe" w Niemczech. Czeladnikiem został po wojnie w Lesznie, ale porzucił stolarkę. Znają go w okolicy jako drogomistrza, znają go więc dobrze, bo drogami jadą ludzie ze wszystkich wsi. I przysiągłbym, że chwalą pana drogomistrza za gładką nawierzchnię i zawrotną muzykę. Skrzypek bowiem z niego w świetlicowej grupie regionalnej, której kapelmistrzuje sam Skorupski (sława na dwie albo trzy gminy).

Na tym by wielu chłopów zakończyło charakterystykę drogomistrza, na tym zakończyłoby również wielu działaczy i pewnie wszystkie władze miejscowe.

A jednak trzeba czasami oddać sprawiedliwość wydziałom kultury, powiatowym, ba — nawet wojewódzkim. Taki puchacz referent z Leszna, a drugi aż z Poznania dojrzeli to, czego nie widzą sąsiedzi drogomistrza, choć siedzą za miedzą. Warto wymienić nazwiska tych referentów, w Lesznie — Szymaniak, w Poznaniu — Cichowiczowa. Oni to mogliby rozszerzyć charakterystykę Leona Dudka, tak bowiem nazywa się znany w całej gminie drogomistrz.

Powiedzieliby, że pewnie nie będzie w przyszłości majstrem od naprawy dróg. Że będzie... że może być... **rzeźbiarzem.** Bo rzeźbi. W stolarce jeszcze jako chłopiec, pokochał drzewo, zwięzłe, spoiste, lipowe drzewo, które posłuszne bywa nie maszynie, nie heblowi i ołśnikom, ale dłutom i wyobraźni człowieka.

Odkryli go referenci, dokonali zdjęć rzeźb i wykołatali w Ministerstwie Kultury dwa kolejne jednorazowe stypendia (po 350 zł) na zakup surowca i uzupełnienie narzędzi. Stypendia przyszły, a fotografie utknęły w nieprzeglądanych aktach. Wojewódzki Wydział Kultury zakupił nawet trzy rzeźby **„Dojarkę", „Dudziarza" i „Skrzypka"** (w tamtejszych strojach ludowych), zamówił rzeźby na te same tematy dla Ministerstwa Kultury. Niedawno przywiózł je Dudek do Poznania, pewnie jeszcze nie dotarły do Warszawy, bo od roku nie ma już w powiecie i województwie dawnych opiekunów-referentów. Nowi zaś ani go dotąd nie odwiedzili, ani też nie nawiązali kontaktu.

Któż więc dalej poprowadzi opowieść o drogomistrzu, twórcy ludowym?

Sam rzeźbiarz z Włoszakowic.

Nie ma w tym przypadku. Do listu bowiem, jaki nam Dudek nadesłał, parło wiele przyczyn z nieodwołalną koniecznością.

Drogomistrz był na I Krajowym Zjeździe Twórców Ludowych. Pierwszy raz w stolicy, której poświęcił przed paru laty rzeźbę **„Robotnika odgruzowującego Warszawę".** Tę rzeźbę przekazał w 1950 r. Cepelii w Lesznie. Chciał z nią nawiązać współpracę. Zażądano na próbę rzeźby. Wykonał tego „Robotnika". Dotąd ani mu rzeźby nie zwrócono, ani nie zapłacono, ani więcej niczego nie zamówiono. Oto sprzeczności, jakie dojmująco starły się w Warszawie.

Był delegatem. Słuchał referatów i przemówień poświęconych wielkiej sprawie — twórczości ludowej. Czuł, jak mu wyrastają skrzydła, jak wyzwalają się w nim najskrytsze marzenia, upajał się ludźmi i mowami — światem, za którym tęsknił, a który nagle przyjął go jako twórcę i artystę.

Dudek nawet przemawiał, a potem wyłamując palce przypominał sobie Cepelię w Lesznie — przemilczała jego rzeźbę i zrezygnowała ze współpracy. Przypominał sobie Cepelię w Poznaniu. Było to w ubiegłym roku. „Głos Wielkopolski" (pod wpływem dobrej opiekunki Ciechowiczowej) napisał o nim artykuł. Przedstawiciel Cepelii w te pędy zamówił u Dudka rzeźbę, znów — na próbę. Po wykonaniu miał Dudek napisać, a Cepelia obiecała zaraz odebrać. Wykonał rzeźbę, napisał w sierpniu. Do dziś pozostał bez odpowiedzi.

Już tam, w Warszawie, czuł, że pozostaje bez odpowiedzi.

Jest bowiem, czy nie jest rzeźbiarzem?

„Skrzypek" — rzeźbił Leon Dudek

W tłumie delegatów brano go za twórcę ludowego i sam przeżywał momenty najpełniejszej wiary w swój talent i możliwości twórcze. Ale wracały uparcie i wracają doświadczenia, z których marzenia i nadzieje zdziera przeraźliwie rzeczywistość. Cepelie w Lesznie i Poznaniu odtrąciły go. Czyżby to znaczyło, że nie widzą w jego rzeźbie ani kszty wartości? Tego się można domyślać, tego trzeba się lękać. Ale pod takim werdyktem ciężko żyć. Boć przecież on nie dziecko i rozumie, że kiedy sam siebie nazywa twórcą ludowym, rzeźbiarzem w drzewie, to znaczy, że trochę nim jest, a bardziej, że nim dopiero stać się może. A jakże się wyrabiać i sprawdzić, jeśli instytucje regionalne, powołane do tego, nie dają zamówień? Nie stwarzając więc podstawowego warunku do pracy i rozwoju rzeźbiarza unicestwiają go i w tym, co osiągnął, i w tym czego mógłby dokonać.

Chłopi na drogach oglądają co dnia do późnego wieczoru pana drogomistrza i skrzypka z kapeli regionalnej. A drogomistrz duma nad dwoma projektami. Jeden to sprawa serdecznego obowiązku lokalnego. Na świetlicowych zebraniach dojrzał pomysł, aby wznieść we Włoszakowicach pomnik ku czci kompozytora **Karola Kurpińskiego,** który tutaj się urodził. Popiersie chce wykonać Dudek i wykona, kiedy nadejdzie piaskowiec.

Drugi projekt obmyśla na Konkurs Ministerstwa Kultury, „Ale przeraża mnie brak czasu". Drogi wciągają w głąb gminy, daleko od domu. Wstaje jak gajowy równo z ptakami i wraz z nimi wraca.

Zdobyć czas dla rzeźbienia! Zdobyć ten pierwszy warunek do walki o przyszłość artysty.

„Moim marzeniem jest wykonywać tylko rzeźby bez innej pracy, bylebym miał stałego odbiorcę i Ubezpieczalnię Społeczną, a wówczas mógłbym naprawdę coś porządnego stworzyć. Czy jest to niezdrowe marzenie pragnąć pracować w zawodzie, do którego serce skacze? Rożne są zapotrzebowania na rzeźbę, od rzemiosła do sztuki. Ale żeby raz wreszcie w niej dzień po dniu tkwić jak garncarze, którzy w ceramice stale pracują i zarobkują".

Zaiste, nie pakujmy twórców ludowych do jednego worka. Są dziedziny folkloru, które nie mogą być uprawiane tylko **ubocznie.** Do takich należy ceramika, a pytanie czy nie rzeźba? Jeśli takiego rozróżnienia nie przeprowadzimy i nie wyciągniemy z niego właściwych konsekwencji, wówczas stypendia i wezwania konkursowe miną się z celem. W wielu dziedzinach nie doczekamy się dzieł sztuki. Często w tych właśnie, w jakich dzieło może osiągnąć rangę przewyższającą twórczość samorodną. Do nich należy rzeźba.

Cepelie w Lesznie i Poznaniu odebrały nie tylko wiarę twórcy, odebrały człowiekowi prawo do zawodu, zamiast mu stworzyć warunki na stałe uprawianie, a w perspektywie na rozwój rzeźbiarza - artysty. Karygodna polityka. Bo iluż to mamy chętnych do rzeźbienia? Ilu majstrów, ilu twórców? Jest to dziedzina wołająca o terminatorów i adeptów.

„Dudziarz" — rzeźbił Leon Dudek

Kiedy nasze plany szwankują, kiedy rwie się ich sieć, przez wyrwy wdziera się grasant, stary konkurent z inicjatywy prywatnej, stary mecenas, co to lubi jelenie, albo kobiety **in natura** i takie rzeźby zaraz gotów na biurko czy komódkę... Dudek wspomina o takich pokusach. Czyhają bowiem na Dudków, aby ich obrócić w chałupników tandetnych, oleodrukowych gustów mieszczańskich. „Nagabuje mnie pewien gość z Poznania na rzeźbę „Jelenia na rykowisku", sam mi szczegóły podsuwa, bo on miał dawniej takie „śliczności" i obiecuje mi narobić innych smakoszów". Dudka otrząsa, ale czy zlekceważony i zapomniany przez Cepelie „mamże powoli zapomnieć o swoim zamiłowaniu, aby jedynie dla dzieci strugać koniki i pieski?".

Chłopi na drogach co dnia mijają drogomistrza, życzą mu pomyślnej pracy, chwalą grę na skrzypcach, a Dudek myśli, jakże w tej gminie znany, jest równocześnie ludziom nieznany. Dla nich on — to droga i orkiestra. A przecież **„mnie zajmują właśnie tu z życia na wsi jej obyczaje odchodzące, ale i obecna przebudowa wsi. Spółdzielnie Produkcyjne, traktory, których przedtem nie widziałem, także postępy w budownictwie przemysłu i techniki w mieście. Słowem, tematów mam pełną głowę. Nieraz w nocy albo nad ranem budzę się i obrazy stają mi jak żywe, chwyta gorączka, aby przekuć w kamień albo wydrążyć w drzewie i prawie siłą odrywam się od tego nawiedzenia, gdyż wzywa obchód, który zabierze cały dzień i pragnień nie ma kiedy urzeczywistnić".**

Wacław Palik

TEOFIL KOWALCZYK

CHŁOPCY Z CIECHANOWIC

JESIENIĄ 1952 r młodzież gromady Ciechanowice w powiecie Kamienna Góra zaniepokojona została dwiema sprawami. Gdy wyszła na boisko sportowe, żeby pograć w piłkę, zjawił się przewodniczący miejscowej spółdzielni produkcyjnej i donośnie oświadczył:

— Złazić mi z pola! Jeszcze was tu nie widzieli! Dosyć zabawy! Plac przechodzi na własność spółdzielni.

Chłopcy zdumieli się. Od dawna grywali tu w piłkę nożną i w siatkówkę. Nikt do boiska nie zgłaszał pretensji, a tu masz... Zarząd nie tak dawno założonej spółdzielni produkcyjnej anektuje plac sportowy.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia po spotkaniu się z przewodniczącym, gdy mijający ich na rowerze sołtys krzyknął:

— Oddawać książki! Zabierają do powiatu. — Widocznie przewodniczącego ucieszyło zarządzenie władz, bo oczy mu się śmiały i już z pewnego oddalenia zadrwił:

— No, teraz wszystkie próżniaki wezmą się do uczciwej roboty.

Głowiński Stach, uczeń Technikum Górniczego w Wałbrzychu, złapał Wojsa za rękę.

— Słyszałeś? Czy oni z byka spadli?

Tak narodził się konflikt, który zmobilizował młodzież gromady Ciechanowice do walki o książkę i sport.

*

Ciechanowice są wsią podgórską. Ziemi tu niemało, gospodarstwa drobne. Wojna oszczędziła te okolice. Zjechali się tu repatrianci ze Wschodu i chłopi z Cetnralnej Polski, szukający lepszych warunków do życia. Ale wraz z nimi przyjechali też ludzie chciwi doraźnych korzyści i tacy, których celem było sianie zamętu i krecia antyludowa robota. W okresie akcji wyborczej do pierwszego Sejmu zamordowany został działacz PPS lewicy Jasiński. Po trzech latach sprawcy mordu zostali wykryci i skazani przez sąd ludowy na karę śmierci. Elementy niepewne i przypadkowe odpłynęły, niemniej jednak pozostawiły po sobie osad który dzisiaj jeszcze, acz w drobnych sprawach, mówi o walce nowego ze starym. — Wypadki te rzuciły czarną plamę na Ciechanowice. Powstała w 1951 roku spółdzielnia produkcyjna, jaśniejsze życie dźwiga uparcie w górę. Ale łatwiej jest zaszczepić nowe formy gospodarcze na krwawym pobojowisku niż nauczyć ludzi myśleć kategoriami przyszłości. W tej dziedzinie praca jest o wiele trudniejsza, wymaga dłuższego czasu i żmudnej, codziennej troski. Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, człowiek niby na miejscu, uczciwy, dbający o dobro wspólnego gospodarstwa, nie myśli, co będzie za trzy lata. Wojs, syn wiejskiego kowala, wie, że za 3 lata do spółdzielni zamiast 30 będzie należało 200 gospodarstw, bo tyle liczy ich wieś. Boisko sportowe uczy ludzi wspólnej pracy i wymaga dobrego zespołowego wysiłku. Trzeba więc uczyć sportu i rozszerzać jego wpływy. Sport odpowiednio postawiony pod względem organizacyjnym i ideowym jest doskonałym środkiem wychowania nowego człowieka. Pogłębia dyscyplinę zespołową, rodzi poczucie honoru i ambicji, wytrwałość i cierpliwość.

*

Decyzja zrodziła się tego samego dnia w kole gromadzkim ZMP. Wojs wspólnie z Głowińskim i Pawlakiem Władysławem postanowili działać. Sprawę gromadzkiego punktu bibliotecznego załatwili stosunkowo łatwo. Władze powiatowe likwidowały go, ponieważ nie mogły znaleźć odpowiedniego kierownika punktu. Dotychczas punkt mieścił się u sołtysa, który nie miał czasu ani ochoty zajmować się pracą bibliotekarza, gdyż nie przynosiło mu to żadnego pieniężnego zysku. Wojs mimo że już był obarczony pracą świetlicową — przyjął obowiązki kierownika biblioteczki i raźno zabrał się do roboty. Z pomocą biblioteki powiatowej powiększył księgozbiór do 600 tomów i w krótkim czasie pozyskał 86 czytelników, przede wszystkim wśród młodzieży. Zaczął również propagować czytelnictwo wśród starszych sięgając w pierwszym rzędzie do członków spółdzielni produkcyjnej.

— Mam ładny sukces — mówi Wojs. — Surmiak Agata, członek spółdzielni produkcyjnej, polubiła książki. Szczególnie podobał się jej „Zorany ugór" Szołochowa. Często rozmawia ze mną o tej powieści. Nie czytała dotychczas książek, obawiała się, że ludzie ją wyśmieją. Teraz czyta z zapałem... i z przeciętnej pracownicy wybiła się na przodownika pracy w spółdzielni.

*

Rozprawa o boisko sportowe była o wiele trudniejsza. Gdy we trzech, tj. Wojs, Głowiński i Pawlak, udali się do zarządu spółdzielni, przewodniczący przyjął ich burkliwie i z góry wykluczył wszelkie porozumienie.

— Co? Boiska wam się zachciewa, kiedy chleb potrzebny? Nic z tego. Zabierajcie się!

— Przecież boiska nikt nie wniósł do spółdzielni jako wkładu, więc jakim prawem...

— Takim! — uderzył ręką w stół. — Jest nam potrzebne i kwita. Mało mamy ziemi. Zboża trzeba, paszy dla krów!

— Starajcie się o nowych członków. Just sporo jeszcze indywidualnych poza spółdzielnią.

— Nie ucz ojca... nie ucz. Wszystkie odłogi muszą być zaorane. Wszystkie! Rozumiecie? A ten leży pewnie od 20 lat.

— A cóż wam tu urośnie?

— Co? — Buraki posadzimy.

— Nam idzie o przyszłość. O zdrowych, dobrych ludzi.

— Przyszłość jest tu — przewodniczący uderzył się po kieszeni...—I nie mam czasu na gadanie!

Tego samego dnia przy wejściu na plac sportowy ukazała się tablica z napisem: „Wstęp wzbroniony. Zarząd Spółdzielni Produkcyjnej w Ciechanowicach". Indywidualni podkpiwali z Wojsa i towarzyszy. Odbyło się ponowne zebranie Koła ZMP.

W kilka dni po rozmowie z przewodniczącym w najbardziej uczęszczanych punktach wsi ukazała się gazetka ścienna „Błyskawica". Czołową jej pozycję zajął rysunek, przedstawiający przewodniczącego spółdzielni z nochalem jak trąba słoniowa, utkwionym w boisko sportowe. Przewodniczący trzymał się za kieszeń—próżną. Podpis pod rysunkiem brzmiał: „Przyszłość jest tu". Śmiech przetaczał się od chałupy do chałupy. Przedmiotem kpin stał się teraz przewodniczący spółdzielni. Nie wychodził z domu, unikał ludzi. Nazajutrz znikła tablica ustawiona przed boiskiem sportowym. Wojs i jego towarzysze triumfowali. Przeciwnik skapitulował. Młodzież ze śpiewem udała się na plac sportowy. Powstało koło sportowców. Zwyciężyła młoda, zdrowa myśl.

— No, a teraz? — pytam Wojsa.

— Sport rozwija się u nas coraz lepiej. Przydałby się nawet jakiś instruktor. Ludzie coraz więcej czytają — to i robota idzie raźniej. W czytelnictwie przoduje nasze Koło ZMP. Dwóch otrzymało nagrody na konkursie czytelników. Są to Głowiński Stanisław i Pawlak Władysław. Ten ostatni marzy o szkole oficerskiej.

Teofil Kowalczyk

JULIAN STAWIŃSKI

BUDOWA RZECZYWISTOŚCI

„NIE spotkałem w Stanach Zjednoczonych człowieka, który nie pragnąłby pokoju" — mówi prezydent Eisenhower.

Słusznie. Bardzo słusznie. Trudno w Ameryce spotkać człowieka spragnionego wojny. Tygodniami można przemierzać obszary republiki, dotrzeć do farm odludnych, zagłębić się w plątaninę uliczek murzyńskiego Harlemu, wspiąć się aż na poddasza nędzarzy z Bowery i nie znaleźć tam producenta bomby atomowej, zwolennika „rozmów z pozycji siły", czy „wyzwalania" Polski z pomocą Guderiana.

Naród amerykański szczerze chce pokoju. Tylko, jak ów szczęśliwiec z bajki, który na grzbiecie nie miał koszuli, naród Ameryki nie dorobił się jeszcze demokratycznej możności wprowadzania swej woli w czyn. Dlatego też myśl prezydencka, chociaż w zasadzie tak głęboko słuszna, jest jednak nieco zbyt śmiała. I gdyby prezydent dając jej wyraz spojrzał wkoło siebie — by nie rzec w lustro — może by widok najbliższych współpracowników przywiódł mu wspomnienie owej innej bajki — o królu, który był nagi.

Nagości królewskiej nie skryły pochlebstwa dworaków. Nagiej prawdy o celach polityki USA nie osłonią frazesy i najbardziej pokojowe zaklęcia. Na nic zda się mówić o pokoju, gdy sekretarz stanu zwiedza już drugą część świata montując bazy agresji, minister „obrony" przyrzeka hitlerowcom odwet, a sam prezydent stawia wciąż nowe trudności w zawarciu koreańskiego rozejmu.

Rząd i parlament brytyjski w dwudniowej debacie żądają od Stanów Zjednoczonych poczynienia choćby wstępnych kroków w kierunku pokoju. Z przerażeniem wsłuchują się w odgłosy zza oceanu. „Są tam ludzie — mówi były premier Attlee — którzy chcą generalnej wojny z Chinami, wojny przeciw komunizmowi w ogóle". Ci ludzie sprawują władzę, tych ludzi należy okiełznać. W odpowiedzi rozlega się ryk Mac Carthy'ego: Torpedujmy statki angielskie! A prezydent Eisenhower wysuwa warunek: Niech ZSRR stłumi rewolucję ludów azjatyckich.

Czy nieznajomość historii istotnie jest aż tak wielka? Osią dziejów ludzkości był zawsze bunt uciskanych i żaden Archimedes nie zmieni praw rozwoju. Rewolucje ustaną dopiero wtedy, gdy zniknie ucisk. „Nie ze strony Rosji i jej rewolucyjnego rządu grozi wam podbój—głoszą słowa Lenina i Stalina, zwrócone 3 grudnia 1917 do narodów Wschodu — lecz ze strony drapieżców imperializmu, ze strony tych, którzy prowadzą obecną wojnę o rozbiór waszych krajów, ze strony tych, którzy waszą ojczyznę zmienili w swoją „kolonię", grabioną i obdzieraną".

Tu tkwi tajemnica frazesów i zaklęć, a także warunków i żądań. Polityka zagraniczna każdego kraju stanowi odbicie jego sytuacji wewnętrznej. Rządy monopoli rodzą imperializm, imperializmowi zaś nieodłącznie towarzyszą wojny. „Często zastanawiamy się — mówi Clement Attlee — kto jest silniejszy: prezydent Eisenhower, czy senator Mac Carthy?" Pytanie jest retoryczne, jeśli nie jest naiwne. Prezydent i senator nie walczą ze sobą. Idą w tym samym kierunku co rząd mianowany przez prezydenta, a desygnowany przez monopole Wall Street: zbrojeń, podbojów i ucisku kolonii.

Wielka Brytania sama nie jest bez grzechu. Prowadzi trzy wielkie kampanie wojenne — na Malajach, w Egipcie i w Kenii — nie licząc działań pomniejszych. Churchill i Attlee stoją więc na straży interesów wyraźnie określonych. Ale wyczerpany imperializm angielski drży na widok perspektyw wojny generalnej, wie bowiem, że byłby to kres ostateczny jego istnienia. Żaden imperializm nie wyrzeka się dobrowolnie tego, co jest jego żywiołem. Powściągliwym czyni go dopiero konieczność.

Dlatego premier Nehru w przeddzień wizyty Dullesa w stolicy Indii ostrzega Amerykę i wzywa do pokojowych rozwiązań. Wojna nieszczęściem byłaby dla całego świata, dla świata kapitalizmu — zagładą.

„Kapitalizm — pisał niegdyś Jaurès, wielki przywódca proletariatu Francji — niesie w swym łonie wojnę jak chmura niesie pioruny". Niesie wojnę i niesie terror tym brutalniejszy, iż większa jego słabość Minął jednak czas, kiedy blask błyskawic porażał wylękłe masy ludowe. Dziś bicie piorunów zwiastuje nadejście orkanu, który zmiata z powierzchni ziemi śmieci historii. Gdyż epoka schyłku rządów kapitalistycznych nabrzmiała jest także rewolucją.

Rzeczywistość to najsilniejszy argument. Dotarła już do zacisza brytyjskiej Izby Gmin i żadna, najbardziej nawet pancerna kurtyna nie osłoni przed nią władców USA. Lecz samorodne procesy zawsze są powolne. Rzeczywistość więc trzeba budować. Bardziej niż kiedykolwiek prawdziwy jest fakt, że każdy zasiany przez nas łan zboża, każdy nowy dom i nowa maszyna przyspiesza i zabezpiecza pokój.

Julian Stawiński

ALBERTO JACOVIELLO

„SZOSA ŚMIERCI"

Byłem tylko jeden raz w Tel-el-Kebir. Miejscowość ta, zamieszkała przez kilkutysięczną ludność, położona była obok „szosy śmierci" tj. drogi, prowadzącej z Ismailii do Kairu.

Wracałem właśnie z krótkiej podróży do „Strefy Kanału". W owym czasie Anglicy nie stosowali jeszcze dyskryminacji wobec zagranicznych dziennikarzy, przebywających w Kairze, toteż drogowe posterunki wojskowe otwierały przede mną szlabany. Mimo to nie uniknąłem licznych rewizji osobistych.

W połowie drogi nawaliła nam guma. W samochodzie było nas trzech i żaden nie miał doświadczenia w reperowaniu dętek. Ale nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko zabrać się do klejenia. Wysiedliśmy z maszyny i rozejrzeliśmy się wkoło. Z jednej strony pustynia, z drugiej — widniejące w oddali obozy wojskowe. Wzdłuż drogi — kanał słodkowodny, zwany „małą Riwierą Ismailii". Wokół żadnego śladu życia, tylko gdzieniegdzie na powierzchni kanału kołysały się wysokie białe żagle barek rybackich. Szukać pomocy u rybaków byłoby nonsensem.

Zabraliśmy się do roboty usiłując wprowadzić wesoły nastrój. W rzeczywistości nie potrzebowaliśmy się niczego obawiać ze strony patriotów, towarzyszył nam bowiem Egipcjanin, a poza tym wystarczyłoby okazać zebrane przez nas dla naszych dzienników fotografie, będące dokumentem terrorystycznych bestialstw angielskich w Port Saidzie i Ismailii, aby być uznanymi za przyjaciół. Mieliśmy jednak powody do obawiania się Anglików. Na szosie tej stracili oni wielu ludzi i dlatego nazwali ją „szosą śmierci". Nie mieli odwagi jeździć nią po zachodzie słońca, ale jeśli już musieli taką podróż przedsięwziąć, mieli rozkaz strzelania do wszystkich bez ostrzeżenia.

Gwiazdy zabłysły już na niebie, a nad pustynią zawisł mrok, gdy skończyliśmy reperację koła. W pobliskim kanale rechotały żaby — kumkanie ich rozlegało się donośnie w dzwoniącej ciszy.

Następnego dnia w Kairze miała odbyć się wielka manifestacja patriotyczna z przebiegu której obowiązani byliśmy przesłać sprawozdania do swych dzienników.

Przejechaliśmy tak ze dwadzieścia kilometrów, gdy nagle prowadzący wóz mój przyjaciel z całą siłą nacisnął hamulec. Maszyna zarzuciła w prawo i w lewo, przejechała jeszcze kilkanaście metrów i z piskiem hamulców zatrzymała się przed dwoma grubymi pniami drzew, położonymi w poprzek szosy. Kilkanaście ciemnych postaci poderwało się z piasku pustyni i otoczyło samochód. Byli to Arabowie, uzbrojeni w karabiny, ubrani w długie różnokolorowe chałaty, w wełnianych zawojach na głowach. Zamarliśmy bez ruchu na siedzeniach samochodu spoglądając na skierowane w naszą stronę wyloty luf karabinowych. Towarzysz nasz, Egipcjanin, przemówił do nich po

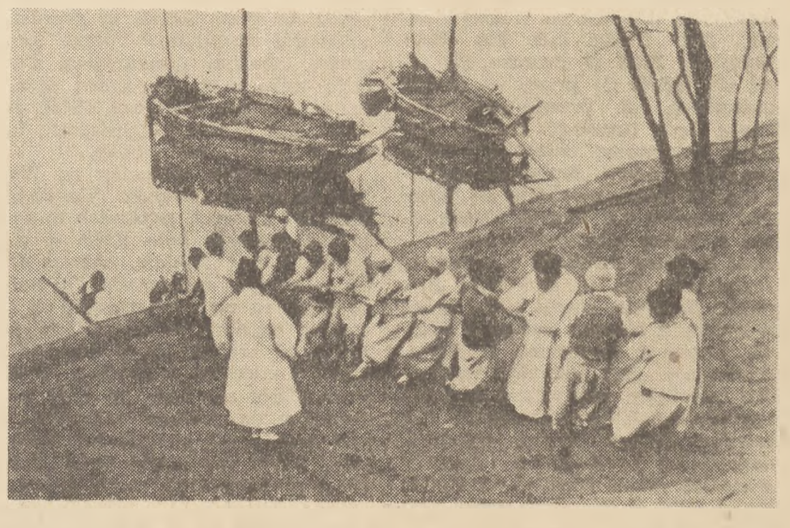

arabsku. Ponure twarze rozjaśnił uśmiech i broń opadła w dół. Wyjaśnił napastnikom, że jesteśmy dziennikarzami - komunistami, a więc przyjaciółmi Egiptu.

Powtórzyła się podobna scena jak w Port Saidzie, gdzie tak serdecznie przyjęli nas strajkujący robotnicy. Musieliśmy wyjść z samochodu, a Arabowie demonstrowali swoje przyjazne dla nas uczucia mocnym uściskiem dłoni. Mówili przy tym w niezrozumiałym języku, który usiłował tłumaczyć nam nasz towarzysz podróży. Razem z nowymi znajomymi poszliśmy w kierunku Tel-el-Kebir wkraczając tam w otoczeniu uzbrojonych Arabów. Tel-el-Kebir — to nędzna wioska ze zbudowanymi z gliny domami. Mieszkają w nich ludzie, których nie potrafiła poskromić potężnie uzbrojona armia.

Doszliśmy do jedynej we wsi kawiarni, mieszczącej się w na wpół rozwalonej chałupie. Zadymione wnętrze izby pełne było ludzi ubranych w łachmany. Usiedliśmy w otoczeniu kilkudziesięciu mężczyzn za stołem, na którym pojawiły się natychmiast liczne filiżaneczki herbaty. Zaczęto nam zadawać szereg pytań na temat Włoch, Związku Radzieckiego, Chin. Co za uczucie! Wydawało mi się, że jesteśmy wśród swoich — właśnie w tej malutkiej kawiarence w Tel-el-Kebir, z partyzantami. W oczach ich błyszczała radość, wywołana naszą obecnością.

— Przepędzimy Anglików z Egiptu! — mówili.

Nagle zapadło milczenie. Do izby wszedł młodzieniec może dwudziestopięcioletni, ubrany wprawdzie tak jak inni, lecz różniący się od nich bardziej subtelnym wyrazem twarzy. Był szczupły, wysoki, o ruchliwych oczach i białych, delikatnych rękach. Przedstawił się składając ukłon i przyciskając rękę do piersi, po czym uścisnął nam dłonie. Pragnąłby zobaczyć nasze dokumenty, wystawione przez egipskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Z szerokim uśmiechem przeprosił nas za te „formalności" i z powagą wygłosił tradycyjne powitanie:

— Przyjaźń nasza będzie wam towarzyszyła aż do chwili waszego wyjazdu.

Następnie oświadczył, że jest do naszej dyspozycji i zapytał, w czym może nam być pomocny. Zaledwie zaczęliśmy zadawać mu pytania, gwałtowny hałas wywołał nas przed chatę. Usłyszałem przenikliwy krzyk młodzieńca, który prawdopodobnie był dowódcą partyzantów. Wzywał uciekinierów do powrotu, ale oni płynęli z rozpaczliwym pośpiechem starając się wyjść jak najszybciej z zasięgu swoich prześladowców. Wtedy czterej mężczyźni podnieśli karabiny. Gruchnęła salwa. Piskliwy jęk niczym skowyt zranionego zwierzęcia dobiegł mnie od strony kanału i po chwili woda zamknęła się z cichym pluskiem nad uciekinierami. Na spokojnej znowu powierzchni kanału zalśnił refleks księżyca.

Jak się okazało, byli to dwaj zdrajcy. Właściciele wielkich towarowych barek wynajęli się Anglikom za pieniądze do przewozu żywności. Złapani na gorącym uczynku przez patriotów usiłowali uciec na drugi brzeg kanału, gdzie zamierzali schronić się pod opieką Anglików dozorujących w niedalekiej odległości składy amunicji. Ale sprawiedliwości partyzanckiej stało się zadość.

Resztę nocy spędziliśmy na rozmowie z patriotami, obawialiśmy się bowiem zbliżać w ciemnościach do agielskiego posterunku, który znajdował się na drodze do Kairu.

W skład Komitetu Obrony wchodzili reprezentanci wszystkich kierunków politycznych. Dowódca podawał się za wajdystę i okazywał wielki podziw dla Związku Radzieckiego uważając go—podobnie jak inni mieszkańcy wsi — za największego przyjaciela ludu egipskiego. Partyzanci byli dobrze uzbrojeni i napadali na przejeżdżających szosą najeźdźców. Trzy dni temu udało im się rzucić granaty zapalające na obóz angielski. Codziennie gazety podawały wiadomości o czynach patriotów z Tel-el-Kebir.

✠

Prawie w dwa miesiące po mojej bytności w Tel-el-Kebir, tj. 15 stycznia 1952 roku, 10 tysięcy Anglików zaatakowało wieś po uprzednim zbombardowaniu jej przez artylerię polową. Siedem godzin patrioci i egipscy policjanci bronili rozpaczliwie każdej piędzi ziemi. Strzelali do ostatniego naboju. Potem część obrońców wycofała się w głąb pustyni — reszta kryła ich odwrót. Wśród tej reszty był także młody student, którego poznałem w czasie swego pobytu we wsi w listopadzie ubiegłego roku.

W dwa dni po bitwie o Tel-el-Kebir poszarpane przez specjalnie do tego celu tresowane dzikie psy ciało studenta znaleziono ukrzyżowane przy „szosie śmierci'. Na szyi jego wisiała kartka z napisem: „terrorysta". Spadochroniarze kata Erskine'a okazali się godnymi naśladowcami SS-kata Kesselringa.

W pięć dni później na tej samej szosie dziesięciu Anglików zostało zabitych z zasadzki przez patriotów.

Tłum. z włoskiego
Władysław Halicki

ALBERT ROLLAND

Beczka nafty czy beczka prochu?...

W niedawnych wyborach wenezuelskich zwyciężyła umiarkowanie liberalna partia burżuazji oraz inteligencji — Unia Republikańsko-Demokratyczna. Ale władzę utrzymała w swym ręku rządząca krajem junta wojskowa wyznaczając na prezydenta swego przewodniczącego płk. Perez Jimeneza. Zamach stanu zakończył próbę „demokratycznych wyborów", jakie zaryzykowała nieopatrznie wszechwładna od lat 4 dyktatura wojskowa. Warto obejrzeć sprężyny tych wydarzeń. Są one bowiem typowe dla całej niemal Ameryki Łacińskiej.

✠

Wenezuela jest małym krajem. Ale na swoje (w warunkach kapitalizmu) nieszczęście kraj ten jest nadzwyczaj zasobny w bogactwa mineralne. Wenezuela zajmuje w świecie kapitalistycznym pierwsze po USA miejsce w wydobyciu oraz eksporcie tak ważnego surowca strategicznego jak, nafta, której produkcja wyniosła w 1952 r. 95 milionów ton. Dalej, Wenezuela jest od niedawna poważnym źródłem rudy żelaznej. W 1952 r. produkcja wyniosła 2 miliony ton. Ale już w 1955 r. wzrosnąć ma do 13 milionów i po raz pierwszy w Ameryce Łacińskiej stać się przedmiotem wywozu. A ruda wenezuelska należy do najlepszych na świecie. Jej zawartość czystego żelaza waha się około 65 proc.

Wenezuela posiada też szereg innych bogactw mineralnych, których eksploatacja nie rozpoczeła się jeszcze na większą skalę. Już obecnie wiadomo, że znajdują się tam bogate złoża miedzi, węgla, bauksytów, siarki, azbestu, złota, srebra, diamentów... Ostatnio odkryto poważne złoża uranu, podstawowego surowca dla produkcji bomb atomowych.

Gdyby te wszystkie bogactwa były własnością narodu, każdy mieszkaniec tego kraju miałby zapewnioną przyszłość i mógł prowadzić dostatnie życie. Tymczasem ludność żyje w skrajnej nędzy. Chociaż ziemia jest bardzo urodzajna i niegdyś były znaczne nadwyżki produktów rolnych i hodowlanych, obecnie importuje sie 94% zapotrzebowania warzyw, 80% zapotrzebowania pszenicy, kukurydzę i ryż oraz znaczne ilości mięsa. Rzecz znamienna, że Wenezuela nie importuje bezpośrednio zboża, lecz mąkę, kraj bowiem nie posiada właściwie żadnych większych młynów.

Na 69 milionów hektarów ziemi zdatnej do uprawy uprawia się tylko 730.000 hektarów. Z 562.112 rodzin zatrudnionych w rolnictwie tylko około 18 proc. posiada ziemię na własność. Reszta to dzierżawcy, robotnicy rolni lub koczownicy przenoszący się z miejsca na miejsce.

Chłopi dzierżawcy oddają za użytkowanie ziemi połowę zbiorów obszarnikowi. Procent ten znacznie wzrasta, gdy obszarnik pożycza chłopu inwentarz lub narzędzia rolne. Większa część chłopów jest zresztą zadłużona po uszy u obszarników, co sprowadza ich faktycznie do stanu niewolników. Jednym z największych obszarników kraju jest wyższa hierarchia kościelna.

Szczególnie ciężkie jest położenie chłopów, których nędza zmusiła do koczowniczego trybu życia. Taki tryb życia prowadzi w Wenezueli 100 tys. rodzin. Koczownicy uprawiają małe poletka na leżących odłogiem terenach olbrzymich koncesji obcych monopoli górniczych. Bardzo rzadko udaje im się zebrać więcej niż jeden raz plon na tym samym miejscu. Często przed samymi zbiorami policja lub strażnicy koncesji wypędzają ich i niszczą zbiory. Przemysł słabo rozwinięty nie wytrzymuje obcej konkurencji. Wenezuela importuje prawie wszystkie potrzebne jej wyroby, od gwoździa i łyżki do bawełnianego ubrania chłopa.

Równocześnie zaś robotnik wenezuelski zarabia 4 — 5 boliwarów dziennie, to jest tyle, ile wynosi cena 12 bananów. Ale ci, którzy otrzymują tak nędzne zarobki nie są jeszcze najnieszczęśliwsi. W kraju znajdują się setki tysięcy bezrobotnych stojących na skraju śmierci głodowej.

Nic dziwnego, że Wenezuela ma śmiertelność jedną z największych na świecie, a 62 proc. ludności stanowią analfabeci. O zacofaniu, w jakim trzymana jest ludność, świadczy np. fakt, że w 1949 roku dziennikarz „Nowoje Wremia" Kamniew natknął się o 20 kilometrów od stolicy na koczującego chłopa, który nigdy nie słyszał o II wojnie światowej.

✠

A teraz przyjrzyjmy się rzeczywistym właścicielom kraju. 80 proc. zasobów nafty znajduje się w rękach dwóch monopoli amerykańskich — Creole Petroleum Corporation (filia Standard Oil Rockefellera) i Mene Grande Oil Company (filia Gulf Oil bankiera Mellona). Pozostałe 20 proc. to własność angielskiego monopolu Royal — Dutch Shell.

Wydobyciem żelaza podzieliły się dwa najpotężniejsze monopole hutnicze USA — Bethlehem Steel i United States Steel (ich filie w Wenezueli to Iron Mines Company i Orinoco Mining Company).

Dzięki okrutnemu wyzyskowi wenezuelskiej siły robotniczej i dzięki korzystnym warunkom naturalnym (wydajność jednego szybu naftowego w Wenezueli wynosi 30 ton, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych zaledwie 1,5 tony) monopole amerykańskie osiągają tu od 3 do 6 razy większe zyski niż w USA. Inwestycje w Wenezueli amortyzują się po 4—7 latach, podczas gdy ten sam okres w Stanach wynosi średnio 25 lat.

Oblicza się, że w 1952 r. czyste zyski monopoli naftowych w Wenezueli wyniosą około 500 milionów dolarów. Ponadto rząd wenezuelski otrzyma w postaci tantiem około 130 milionów, Naród — głodowe płace.

Aby całkowicie uzależnić Wenezuelę od siebie i uczynić z niej tylko dodatek surowcowy do swej gospodarki monopole USA uniemożliwiły rozwój miejscowego przemysłu. W ten sposób grabią kraj podwójnie, raz wywożąc po cenach niższych od cen rynkowych surowce, a następnie sprzedając po wygórowanej cenie amerykańskie produkty przemysłowe, często bardzo zleżałą tandetę, której nie można już sprzedać w samych Stanach.

Dla zapewnienia sobie eksportu żywności monopole amerykańskie świadomie zniszczyły rolnictwo wenezuelskie, które jeszcze w 1910 roku było w stanie pokryć całkowicie potrzeby wewnętrzne i przeznaczyć znaczne nadwyżki na eksport. Toteż nic dziwnego, że mając pełną kontrolę nad życiem gospodarczym kraju monopole USA kontrolują też jego życie polityczne.

Dlatego za każdą zmianą rządu w Wenezueli należy szukać ręki Wall-Street. Gdy w listopadzie 1948 r. pod presją mas rząd Akcji Demokratycznej zażądał od monopoli naftowych większych wpłat do skarbu wenezuelskiego, wybuchła opatrznościowa rewolta i doszła do władzy obecna junta wojskowa. Ta zaś „wykazała pełne zrozumienie dobroczynnego wpływu obcych inwestycji dla gospodarki kraju". Dla nikogo zaś nie było tajemnicą, że prawdziwym inicjatorem i organizatorem przewrotu był amerykański attache wojskowy ppłk. Adams.

Podobnie było i teraz. URD szła do walki wyborczej z hasłem nacjonalizacji przemysłu naftowego. Gdy tylko ogłoszono pierwsze wyniki świadczące o zwycięstwie tej partii oficjalne amerykańskie agencje prasowe zaczęły pisać, że nie można dopuścić do zagrożenia amerykańskich interesów naftowych, a co za tym idzie i strategicznych. Łatwo więc pojąć, kto krył się za obecnym zamachem stanu podpułkownika Pereza Jimeneza.

Tak Stany Zjednoczone respektują „suwerenne prawa narodów do ich bogactw naturalnych". Takie są w praktyce kroki, jakie podejmują dla „nieprzeszkadzania w sprawowaniu suwerenności państw nad ich bogactwami naturalnymi".

Na nieszczęście dla imperialistów Stanów Zjednoczonych w Wenezueli podobnie zresztą jak w całej Ameryce Łacińskiej narastają siły, których się nie da już stłumić, ani przy pomocy terroru, ani przy pomocy oszustwa.

Świadczą o tym między innymi ostatnie wybory. Świadczy bohaterski dwutygodniowy strajk robotników naftowych, jaki mimo terroru kliki rządzącej odbył się w maju 1950 r. I strajk studentów, który rozpoczął się w czerwcu 1952 r., a trwa do chwili obecnej. I ogarniająca coraz szersze masy walka o pokój, która w Wenezueli toczy się pod hasłem: „Ani kropli nafty dla agresywnej wojny imperialistów". Rządząca klika wojskowa jest coraz bardziej izolowana.

Rozumieją tę sytuację imperialiści amerykańscy. Niedawno przedstawiciel monopoli naftowych i bliski przyjaciel Eisenhowera Nelson Rockefeller mówił o sytuacji w całej Ameryce Łacińskiej, a m. in. o Wenezueli: „Stany Zjednoczone wydają coraz więcej pieniędzy (chodzi tu o inwestycje — A. R.) a mają coraz mniej przyjaciół".

Znana gazeta amerykańska „Christian Science Monitor" pisała, że „rządząca junta w Wenezueli siedzi na beczce prochu". A organ monopoli „US News" alarmował: „Jeśli naród juntę obali, sytuacja monopoli naftowych może stać się bardzo niebezpieczna".

Nie ulega wątpliwości, że cokolwiek robiliby imperialiści amerykańscy dla zaciskania pokrywy wenezuelska beczka prochu musi w końcu wybuchnąć. A wraz z nią wylecą w powietrze nie tylko miejscowa dyktatura wojskowa, ale także ich amerykańscy imperialistyczni mocodawcy.

Albert Rolland

Kronika radziecka

NOWE KSIĄŻKI

„Radzę wam wybrać się na szwendanie się" po Baku, to konieczne. Tyflis nie jest tak ciekawy, chociaż na pozór ma więcej uroku niż Baku. Jeżeli nie widzieliście jeszcze lasów naftowych, wież wiertniczych, to „nie widzieliście niczego". Jestem pewien, że Baku da wam przebogaty materiał..."

Ta żartobliwa, a jednak bardzo istotna wskazówka, wyjęta jest z listu pisanego w roku 1924 przez Stalina do Demiana Biednego. Nie bez przyczyny Stalin zwracał pisarzowi uwagę na przemysł naftowy w Baku. Był to bowiem teren objęty wtedy szczególnie ostrą walką klasową.

O tej właśnie walce opowiada twórczość pisarza ormiańskiego **A. Szirwanzade.** „**Wybór dzieł**" tego realisty z przełomu XIX i XX wieku charakteryzuje barwnie środowisko, w którym działał Stalin, kreśli trafnie postaci magnatów przemysłu i proletariat. Wydana książka stanowi ciekawy wkład w dzieło poznania stosunków klasowych przed Rewolucją Październikową na bardzo ważnym odcinku.

„Miczurinowski kraj", taki tytuł nosi cykl utworów poetyckich **Sergiusza Siewiercowa.** Poemat „Dojrzałość daje wierszowaną biografię Iwana Miczurina. Wiersze „Ogrodnik", „Komsomolska brygada", „Kontynuatorzy" i in. mówią o dziedzictwie miczurinowskim. Pokazują postępy nauki miczurinowskiej, która objęła dziś cały Związek a nawet wyszła zagranicę. przedstawiają konkretne postaci kołchoźników, zasłużonych w dziele kontynuacji odkryć wielkiego naukowca przyrodnika.

Opowiadania **J. Czernego-Didenko** pt. „Nowe horyzonty" pokazują ziemię doniecką i jej chlubę — sławnych górników. Fabuła obraca się wokół kopalń Pierwomajska i ludzi, zamieszkujących to górnicze miasto. Autor charakteryzuje swoich bohaterów przy pracy, w życiu osobistym i politycznym jako współgospodarzy kraju. Książkę zamyka powieść o górniczej młodości, ukazująca dojrzewanie młodzieży górniczej w konkretnej pracy, w środowisku starszego kolektywu. Zbiór opowiadań uzupełnia ciekawą i bogatą gawędniczą literaturę radziecką z powieścią B. Gorbatowa „Donbas" na czele.

W 1950 r. marynarz z floty wojskowej Dalekiego Wschodu nadesłał do jednego z wydawnictw rękopis swojej pierwszej powieści pt. „Szczęśliwej podróży!" Powieść ujawniła zadatki talentu. Autor został skierowany do Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego w Moskwie, zaczął się kształcić i oto po dwu latach przepracowana powieść ukazała się na półkach księgarskich. Marynarz został uznany literatem. Nazwisko: **W. Czukrejew.** Książka jego pt. „**Szczęśliwej podróży**" ukazuje codzienne życie radzieckiej floty wojennej na Pacyfiku. Bogatej radzieckiej literaturze marynistycznej przybyła jeszcze jedna pozycja.

Krytyka podkreśla trudne i ambitne zadanie autora. Gdy chodzi o temat radzieckich sił zbrojnych, pisarze wybierają epizody najbardziej efektowne z okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, ukazują patriotyzm i heroizm żołnierzy. Czukrejew obrał trudniejszą drogę: jego książka opowiada o pracy wychowawczej wśród młodych marynarzy, o pierwszych ich krokach na statkach, ukazuje codzienne życie floty radzieckiej, ale jest to codzienność o wielkiej treści: praca wychowawcza wśród żołnierzy przygotowuje przyszłych bohaterów.

W. Diagilew w powieści pt. „**Gwardziści**" opisał pracę lekarskiego kolektywu na froncie w okresie zmagań z hitleryzmem. Książka wzrusza: mówi o samozaparciu wojskowych lekarzy, w najcięższych warunkach ratujących ludzkie życie. „Drogi doktorze — pisze jeden z uratowanych żołnierzy — mam nadzieję, że list mój dojdzie do was i dowiecie się z satysfakcją, że żyję i nie straciłem nogi. Wszystko to zawdzięczam wam. Tak utrzymują tutejsi lekarze. — Dziękuj — powiadają — swemu doktorowi. Za to wszystko ngdy was nie zapomnę".

Autentyczny list — autentyczne wielkie uczucia ofiarności ze strony frontowych lekarzy i niezmiernej wdzięczności, wyrażanej przez uratowanych żołnierzy.

Książka rozszerza naszą wiedzę o bohaterstwie ludzi radzieckich w okresie Wielkiej Wojny Narodowej.

W „Opowiadaniach znad Wołgi" nowelista **Grzegorz Borowikow** pokazał umiejętnie, jak wielkie budowle komunizmu przeobrażają najodleglejsze rejony. W tym wypadku chodzi o oddziaływanie budowy kanału — Wołga — Don. Rozmach budowy, napływ tylu ludzi, zastosowanie przodującej nauki i techniki do gruntu przeobrażają stosunki na nadwołżańskich obszarach. Nowe wchodzi i do wielkich kołchozów i do najmniejszych, cichych zdawałoby się, wsi. Wymowną ilustracją tych przemian jest opowiadanie pt. „Na wczasach". Artysta-malarz i autor zamierzają spędzić swój urlop z dala od miasta w zapadłej, ich zdaniem, wsi. Przyjeżdżają: ustronie tętni nowym życiem. Starsi uczą się na kursach, młodzież jeździ do miasta do szkół. W miejscowości kolektyw przeprowadził sadzenie pasów leśnych, czynione są poszukiwania nafty. Zmienia się nadwołżańskie życie.

Z książką szkiców **M. Zwierioiwa** „**Przy leśnym ognisku**" wkraczamy w egzotyczny świat kazachstańskiej przyrody. Autor umie ciekawie opowiadać o przyrodniczych ciekawostkach pokazując barwnie faunę i florę. Literacki gatunek opowieści przyrodoznawczych oscyluje między naukowym opisem a gawędą — fantazją. W pierwszym wypadku grozi nudą, w drugim — pozbawiony być może wartości istotnych, wychowawczych. Szkice M. Zwierioiwa podobnie jak opowiadania słynnego Prisziwina łączą udatnie obie tendencje.

Nafta w morzu! Parę lat temu na morzu Kaspijskim koło półwyspu Apszeron powstało całe miasto, zbudowane na stalowych, wbitych w dno morza, olbrzymich palach. Wyrósł las szybów naftowych, wież wiertniczych, zabudowań — pojawili się ludzie naftowcy. Cenna ropa popłynęła rurociągiem na brzeg i dalej dla potrzeb kraju socjalizmu. Wokół obiektów przemysłowych powstało również na morzu niewielkie miasto z dwupiętrowymi domami, z ulicami, ze sklepami i placówkami kulturalno - oświatowymi. Auto jadące ulicami tego miasta „robi" ogółem 20 kilometrów. Ulice? Wznoszą się siedem metrów nad poziomem morza, bije w nie fala, rozwścieczony żywioł usiłuje daremnie zburzyć dzieło techniki i woli radzieckich ludzi.

Przemysł naftowy w morzu Kaspijskim powstał w roku 1949 w niesłychanie ciężkich warunkach. Z ogromnym samozaparciem pierwsi naukowcy naftowcy i technicy wiercili dno morza i stawiali wieże wiertnicze.

O tym bohaterskim wyczynie, o potędze radzieckiej techniki, o ludziach stwarzających tak wielkie dzieła opowiada zbiór szkiców **J. Osipowa** pt. „**Wyspa siedmiu statków**".

Naukowa wyprawa stanowi zawsze ponętny temat dla narratora - prozaika. Pozwala pokazać nowy kraj, nowych ludzi, nowe ciekawe obyczaje. Książka pt. „**Wędrujemy przez Wschodni Sajan**" **G. Fiedosiejewa** zawiera opis autentycznej historii wyprawy naukowców do mniej znanych zakątków Syberii. Autor uczestnik ekspedycji połączył w książce zalety naukowca i umiejętnego gawędziarza. A przede wszystkim czytelnik dowiaduje się o postępowej roli nauki radzieckiej, która bada mniej znane kraje dla podniesienia ich poziomu cywilizacyjnego i kulturalnego.

Grzegorz Timofiejew.

WOJCIECH DRYGAS

„STRAŻAKU, WSTAŃ!"

Kierownik świetlicy donosił gorliwie:

„...odbyto tyle a tyle zebrań, wypożyczono tyle a tyle książek jak również zorganizowano w okresie sprawozdawczym kapelę z własnym programem, która ożywi życie świetlicowe rozwijające się bujnie w naszej gromadzie"...

Sołtys:

„...obydwie raty podatku gruntowego uregulowały w 100 proc. gospodarstwa do 7 ha, w 90 proc. 7 — 10 ha, w 5 proc. powyżej 15 ha, pożarów nie było, pomorów nie zanotowano, ponadto w okresie sprawozdawczym zorganizowano kapelę z własnym programem, która przyczyni się do umocnienia autorytetu i rozszerzenia ludowładztwa..."

Przewodniczący gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego:

„...w dalszym ciągu podnoszono świadomość mas na wyższy szczebel jak również zorganizowano kapelę z własnym programem, która przyczyni się do utrwalenia więzi..."

Prezes koła gromadzkiego ZSCh:

„...ściągnięto zaległe składki, odbyto tyle a tyle posiedzeń po linii taklej a takiej, w okresie sprawozdawczym zorganizowano również kapelę z własnym programem, która zaktywizuje w poważnym stopniu działalność członków..."

Sklepowa Matecznikowa:

„...obrót ten sam co w poprzednim okresie sprawozdawczym, manko to samo, a także zorganizowano kapelę z własnym programem, członkowie której rekrutują się wyłącznie z naszych remanentów".

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Przylaszczka przez dwadzieścia lat z rzędu produkował swą waltornię na weselach w dwunastu okolicznych wsiach, a będąc za pan brat ze wszelkimi suitami, wariacjami, fugami, opusami, durami i molami posiadał imponujące bogactwo własnych dydaktycznych metod Jego pełna optymizmu i siły hymnowej kantata „Strażaku, wstań!", siódma z rzędu kantata powstała na przestrzeni ostatnich kilku lat jest według opinii sklepowej Matecznikowej szczytowym osiągnięciem w powojennej twórczości tego wybitnego kompozytora.

Podejmując apostolską misję krzewienia wśród narodu dobrej muzyki, komendant Przylaszczka w pierwszym rzędzie rozpisał swoją kantatę na dziewięć instrumentów dętych, perkusję i jeden bęben, po czym przystąpił niezwłocznie do organizowania kapeli. Chętnych było wielu, o wyborze stanowiło posiadanie odpowiedniej jakości użytkowej bombardonu lub klarnetu. Wkrótce też rozpoczęto pierwsze próby.

W tym właśnie czasie do powiatu pobiegło podwodami pięć zakonspirowanych meldunków, z których jeden nie wiedział o drugim.

Odnośne instancje powiatowe wystosowały podobne meldunki do województwa, w wyniku czego odnotowano w statystyce budujący fakt zorganizowania w terenie PIĘCIU NOWYCH KAPEL, które ze względu na własny oryginalny program i jak się domyślano odkrywczy, a w treści swej nawiązujący do folkloru, zapisano bez namysłu na eliminacje przed „Festiwalem Pieśni, Muzyki i Tańca".

W oznaczonym dniu świetlica zapełniła się do ostatniego miejsca publicznością żądną muzycznych wrażeń. Ludzie konsumowali cukierki z remanentów Matecznikowej i wbijali ciekawe oczy w pluszową kurtynę. Nikt na sali nie przypuszczał, że za kurtyną dzieją się rzeczy straszne.

Oto komendant Przylaszczka przypomniał sobie, że jego kantata nie została przeniesiona na chór mieszany, który by śpiewał tekst „Strażaku, wstań!" oraz wykonywał partie mówione (zgiełk: „Gore, gore, do pożaru, do pożaru — wal, wal, wal!" i okrzyki indywidualne: „Kto tam na kominie stoi i niczego się nie boi?", a następnie solo bas na przemian z sopranem: „To Przylaszczka, to Przylaszczka, to Przylaszczka-ha hej, pioho-ruhu-naha!").

— Dlaczegoście nie pomyśleli wcześniej o chórze? — załamał ręce sołtys.

Przylaszczka dygotał z wielkiej tremy.

— Bom ćwiczył kapelę... Jakbym przestał ćwiczyć kapelę, a zaczął ćwiczyć chór, to by kapela zapomniała bez ten czas nut, a jakbym znowu podreperował kapelę, to by chór zapomniał śpiewać. A razem ćwiczyć nie można, bo by było „kantus firmus", a przecież chórzyści muszą z początku sami i unisono, a kapela cięg'em moderato...

Co robić? Co robić?

— Chór mieszany, obywatele? No to trzeba wziąć przecież Podbieralską i Klonika! — krzyknął kierownik świetlicy.

Zacna ta para stanowiła najświetniejszy w całej parafii duet, bez którego nie obyły się żadne nieszpory ani odpust. Oni też dyktowali tempo wszelakich godzinek, rorat i litanii i byli postrachem proboszcza, którego przetrzymując co rano w zbyt długim poście przyprawili wkrótce o nieżyt kiszek.

Wywołani z sali za pluszową kurtynę zjawili się z minami wniebowziętymi.

— Panie Przylaszczka łaskawy, kurtyna w górę! — zadecydował sołtys.

Widownia zaparła oddech. Najpierw ukazały im się nogi, potem brzuchy i wreszcie głowy kilku grubasów i chudzielców, jakby wytoczonych z okrąglaków, co je nadleśniczy ustawia w rzędy na skraju zagajnika. Postawili na podłodze pulpity, rozłożyli z namaszczeniem nuty i trwali tak spokojni, milczący, przejęci swoją rolą, czekając ukazania się kapelmistrza.

Wreszcie i on, brzuchaty, rumiany wkroczył na podium krokiem człowieka, któremu spieszy się do jadła. Zanim przeciął powietrze dyrygencką pałeczką, złożył uroczysty ukłon w stronę publiczności i zapowiedział skromnie:

— A oto kantata w dwóch częściach „Strażaku, wstań!" z wielkim pożarem przez komendanta Przylaszczkę...

Wówczas stało się! Zabrzęczały w oknach szyby i posypał się tynk z sufitu. Bliskie pianie koguta rozdarła w kawały waltornia, róg i klarnet rozpoczęły szaleńczy pojedynek, bęben miażdżył bez litości zunikające z każdą chwilą dźwięki klarnetów. Po kilku taktach, uroznaicony również rykiem helikonu, rozbrzmiały naraz pienia aniołów nie-aniołów — ludzi nie-ludzi.

Widownia zamieniła się w słup soli. Podbieralska wzmocniona basem Klonika głosiła sławę strażaka, śpiewacy przeszli w crescendo, głosy ich rosły i rosły przełamując opor wielkiego bombardonu oraz gniotąc strudzony już bęben.

Do tego momentu wszystko na scenie odbywało się składnie: Przylaszczka wyrzucał w powietrze ramiona, muzykanci pluli i sapali, Podbieralska i Klonik przekrzykiwali się wzajemnie. Jednak po słowach: „Strażaku, wstań, wstań — na koń! na koń! na ko-oon!" bez żadnych przyczyn odmówiła posłuszeństwa waltornia. Po prostu zabeczała z nagła i stanęła wpół taktu. Za waltornią zdechły obydwa klarnety, a zaraz potem bombardon i kornet.

Co u licha? Dech im zaparło? Zgubili się w nutach, czy jak?

W sali zrobiło się przestronniej, jakby z niej usunięto jakieś ciężkie meble, ludzie popodnosili głowy, za oknem triumfował z powrotem kogut.

Zdenerwowało to sołtysa.

— Panie Przylaszczka łaskawy! — podpowiadał. — Cugpuzon i basy bejne pospały się... Daj im pan ostrogę.. — lecz nie był on widocznie dobrym suflerem, bo stado instrumentów dętych milczało niby dzikie kaczki w obliczu nieprzyjaciela. Podczas gdy kapelmistrz przechodził sam siebie, aby wykrzesać z nich jakieś tony, z kierunku waltorni spłynęła na sołtysowe kolana niewielka kulka papieru, która po rozwinięciu okazała się pismem. Sołtys czytał:

„Chceta muzyki, odpiszcie nam z obowiązkowych dostaw po trzysta litrow mleka i jednym tuczniku, nie odpiszeta — będziecie mieli g....!"

W sołtysa jakby piorun strzelił. To obejmował błędnym wzrokiem kapelę, to znów wpatrywał się niemo w szantażujące go słowa. Jakiś nieokreślony, rozdzierający smutek rozlał mu się po pyzatym obliczu, gdy w głuchej jak pień waltorni i milczących klarnetach rozpoznał naraz swych opornych podatników powyżej 15 ha.

— Ażeby cię choroba!

Poderwał się z miejsca i do reszty oszołomiony wyjąkał:

— Panie Przylaszczka łaskawy, kurtyna w dół! Do muzyki wkradł się wróg klasowy!

W chwilę potem pluszową kurtyną zatargały jakieś niezwykłe wstrząsy i na widownię. w pierwszy rząd krzeseł, wpadły kolejno: pogięta strasznie waltornia, popękane w kilku miejscach basy bejne oraz sprasowany cugpuzon.

— Uwaga, uwaga! — grzmiała tuba radiowa. — Z przyczyn technicznych występ odwołujemy. Przy wychodzeniu z sali, a potem również, uprasza się szanownych gości o zachowanie bezwzględnej czujności wobec zakusów elementów kułackich.

Na drugi dzień zakonspirowanymi podwodami popłynęło z Kalenia Małego do powiatu pięć jednobrzmiacych meldunków. Sołtys, Prezes ZSCh, przewodniczący gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego, kierownik świetlicy oraz sklepowa Matecznikowa bili się samokrytycznie w piersi:

„...czy muzyka może mieć charakter klasowy? Może mieć, obywatele! Odpiszcie na pewien czas z naszego konta kapelę dętą z własnym programem, perkusją i jednym bębnem!"

Wojciech Drygas

EDWARD POCHROŃ

OKOPAĆ SIĘ W GMINIE! (II)

(List do rodzinnej wsi)

DRODZY Towarzysze!

Rozmawiając z tow. Kobielskim, przewodniczącym GRN, dowiedziałem się, że w gruncie rzeczy nie ma u Was gminnej świetlicy. Nie ma więc ośrodka kulturalnego, który by promieniował na gromady, który by dopomagał w pracy świetlicom gromadzkim. Czyja w tym wina? Mówicie, że PRN w Brzesku, która w ogóle się nie interesowała tym smutnym faktem, mimo że GRN w Radłowie kilka razy w tej sprawie interweniowała. To prawda, ale przyznajcie, że część winy również po Waszej stronie. Nie trzeba było tak długo czekać na PRN w Brzesku, ale pisać do WRN, do prasy — pomoc nadeszłaby. A przede wszystkim trzeba było rozwinąć szeroką oddolną inicjatywę chłopską. Stare przysłowie mówi: „lepiej późno niż li nigdy". Zdecydowaliście się więc, choć dopiero nie dawno, zorganizować świetlicę własnymi siłami. Komitet Budowy Świetlicy w składzie: Uryga (dyr. lic. w Radłowie), Kobielski, Szebesta, zaczął ciułać grosz do grosza z różnych zabaw i zbiórek. Cenna to inicjatywa. Z Wami, Towarzysze, jest ludność radłowska: robotnicy miejscowej cegielni wyprodukowali bezinteresownie dla świetlicy 30 tys. cegły, młodzież gimnazjalna przeznaczała dochody ze swoich zabaw również na świetlicę. A PRN w Brzesku? Wciąż nic! Może chociaż teraz postara się, aby Komitet otrzymał po zniżonej cenie deski na podłogę do świetlicy?

Gorzej ze świetlicami gromadzkimi, tymi absolutnie za mało się interesujecie. Wiecie o tych, które dobrze pracują, a o słabo albo w ogóle nie pracujących prawie że nic nie wiecie. Weźmy na przykład Żabawę. Świetlica zaczęła tam pracować dwa lata temu. GS kupił krzesła i stoły, radio otrzymała gromada za terminowe wywiązanie się z podatków. Ale na tym się skończyło. Kilka miesięcy ową świetlicę prowadziła jeszcze SP. Później ani słychu-dychu. Radio stało u sołtysa, młodzież wieczorami grała w karty. A możliwości pomyślnej pracy świetlicy w Żabawie istniały. Byli chętni, którzy już przedtem brali udział w przedstawieniach urządzanych przez miejscową młodzież gimnazjalną. Chodziło tylko o to, aby pracą pokierować. Ale ani GRN, ani ZSCh, ani ZMP, ani Komisja Oświatowa nic w tej sprawie nie zrobiły.

Główna wina spada tu na Was, Towarzysze z Zarządu Gminnego ZMP. W waszych papierach w ogóle nie figuruje koło ZMP w Żabawie. A ono istniało, chociaż słabe — i trzeba mu pomóc. Za mało, koledzy, za mało włożyliście w tę sprawę wysiłku — okazaliście się słabsi od wroga, który walczył z wami o młodzież z Żabawy. Przestraszyliście się tego, że Was wygwizdano na jednym zebraniu. I nikt wtedy nie pomógł nauczycielowi, który nie mając doświadczenia organizacyjnego zaczął pracę z kołem od naukowego wykładu o Marksie i Engelsie, rewizjonizmie, prawicowym odchyleniu w ruchu robotniczym, itd.

Niemniejszą winę ponosi też Zarząd Powiatowy ZMP w Brzesku, którego pomoc dla Zarządu Gminnego jest, mówiąc oględnie, żadna; w czasie mojego pobytu beznadziejnie czekano tu na prelegentów, obiecanych przez powiat dla obsługi zebrań wyborczych.

Koledzy z Zarządu Gminnego ZMP w Radłowie i powiatowego w Brzesku! Obudźcie się z niezdrowego snu, ruszcie na Koła Wiejskie! Dopomogą Wam dobrze pracujące koła w Cegielni, PGR, Liceum. Zajrzyjcie na zapomniane koło w Żabawie. Teraz młody nauczyciel, Wojciech Nakielny, organizuje tam zespół dramatyczny, ma szerokie plany na przyszłość; pogadajcie z nim, pomóżcie mu. Chętnych młodych ludzi w Żabawie jest sporo: Ignacy Łazarz, Eugeniusz Łazarz, Józefa Łosiówna, Władysława Kita, Zbigniew Rorat, Marian Błażej, Stanisław Dzik i in. W Wał-Rudzie zetempowcy przygotowywali jakąś sztukę, coś tam im nie gra — zaglądnijcie i do nich. A przede wszystkim nie załamujcie rąk, jak to żeście zrobili w rozmowie ze mną, koleżanko przewodnicząca: „A, rzucić to wszystko i iść do Brygady SP". Niesłusznie, koleżanko! Na tym posterunku jesteście! Tak się sprawy mają! Praca trudna, to prawda, ale warta wysiłku i poświęcenia — i może być wykonana.

Życzę powodzenia, Towarzysze!

P. S. Zwróćcie uwagę na to, że młodzież waszego liceum wyjeżdża w teren z programem o spółdzielczości produkcyjnej. Skierujcie ją na trudniejsze gromady.

Edward Pochroń

*) Patrz: Wyrównać dług! (cz. I, „Wieś" Nr 20).

S. WOSKREKASENKO

NIE CZAS UMIERAĆ

Żył był dziadek. Tęgi kowal
Pracowity i usłużny.
Naraz dziadek zachorował
I kostucha stoi w kuźni.
Wo'a śmierć: „Zbieraj się w drogę!"
A dziad na to: „Nie ochota.
Nawet umrzeć dziś nie mogę,
Taka w kuźni wre robota.
Nadszedł właśnie czas remontów,
Reperuję traktor piąty..."
I dodaje chytrze basem:
„Przychodź do mnie w innym czasie!".

Dziadek chwycił się narzędzi:
Coś popsuło się w turbinie.
Przyszła śmierć, chorego pędzi,
A ten swoje: „Czekaj krzynę!
Przecież widzisz, ile pracy.
Kiedy indziej przychodź raczej..."
I dodaje pełen śmiechu:
„Albo wizyt tych zaniechaj!".

Śmierć cierpliwie znów przychodzi
I nie może się nadziwić:
Stary dziad, a zdrowszy co dzień,
Właśnie zbiórkę ma aktywu.
Śmierć mu kiwa: „Ej, nie zwlekaj!"
A dziad: „Teraz? Nie! Ucickaj!..."
I dodaje kpiąco basem:
„Przychodź do mnie w innym czasie!".

Śmierć ostatni raz się wlecze:
„Żegnaj życie!" A dziad: „Idźże!"
I już zdrowy do niej rzecze:
„Będę żyć przy komunizmie.
Taka jest radziecka krzepa:
Stary dziad, a nie umiera.
Idź ty w odwiedziny lepiej
Gdzieś za morza do bankierów.

Przełożył: Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Woźny, że aż palce lizać

Wyobraźcie sobie taką szkołę: budynek brudny i ponury. Słońce do klas nie zagląda, gdyż nie ma którędy. Okna od wielu lat nie myte. W salach kurz i błoto, podłogi od wielu miesięcy nie widziały szczotki i ścierki.

Lekcje? Owszem są lekcje, ale trwają „ile Bóg da". Nigdy nie wiadomo kiedy się rozpoczną, kiedy zaś skończą, gdyż i dzwonka owa szkoła nie zna.

Boisko? Jest i boisko od lat nie porządkowane. Na zapaskudzonej murawie można odczytać stan i rodzaje pogłowia w gromadzie. O ustępach przez zwykłą przyzwoitość nie piszemy.

A nauczycielki? Dwie z nich mieszkają na stryszku, zimą dokucza im mróz, gdyż węgiel szkolny zniknął nim ktokolwiek zdołał go zauważyć. Marzną i dzieci. Ale teraz jest już ciepło, biega tedy dzieciarnia ostrożnie po boisku, chroniąc się przed kamieniami, które ciska w nią pewien pijany człowiek. Jest to woźny.

Jasne, że czegoś podobnego nie możecie sobie wyobrazić. Powiecie — to pewno szkoła z czasów sanacji lub zaborów. No, trzymajcie się mocno — taka szkoła istnieje współcześnie w gromadzie Kujlew, pow. Mińsk Mazowiecki i niestety można ją w każdej chwili obejrzeć. Z woźnym sprawa inna. Tego nie zawsze można oglądać, rzadki z niego gość w szkole. To jedno, a po drugie nie często bywa trzeźwy. Po trzecie, dobrze by było, jeżeli już wybieramy się do Kujlewa, zabrać dużo gotówki, gdyż ob. woźny pan Myśliwiec Jan na pewno zaproponuje nam jakiś interes. Może zechce sprzedać nam świnki, których nie kontraktuje, a może cegłę przeznaczoną na remont szkoły.

A jak już w Kujlewie będziecie, wstąpcie po drodze do GRN i rzeknijcie tam co nieco o myśliwcu, gdyż ojcowie gminy nic o tym nie wiedzą, jak słynną posiadają szkołę i woźnego, że tylko palce lizać.

Piotr Pigwa

W Pacanowie poczta zła

Sława znanego ongiś Pacanowa, gdzie jak wiadomo „Kozy kuto" zanikłaby zapewne doszczętnie, gdyby nie dzielni listonosze z tamtych stron. Im to należy zawdzięczać, że miasteczko znalazło się na ustach chłopów wszystkich bez wyjątku okolicznych wsi, głośno o nim nawet w powiatowym Busku-Zdroju.

A w jaki sposób odżyła sława Pacanowa dokumentnie, za porządkiem, opowiemy.

Otóż wiedzieć wam trzeba, że rejon Pacanowa jest pod względem kulturalnym nieco zacofany. Elektryczności nie ma, stąd też brak aparatów radiowych, ludzie nie znają tu radiowęzła. A i biblioteki pracują podobno nie tęgo. Gdyby tak jeszcze i prasa nie dochodziła — pomyśleli dzielni listonosze — to mielibyśmy u nas jedyną w kraju oazę zacofania. A jakiż stąd zysk dla Pacanowa! Wycieczki młodzieży, ekipy badaczy naukowych. Kto wie czy nie zbudowano by w miasteczku hotelu, a może nawet nie zrobiono tu powiatu? Nuże więc do dzieła!

Dzielni listonosze z godną podziwu pasją zabrali się do tępienia prenumeratorów prasy. Zaprowadzony system rozdawnictwa gazet nawet najbardziej zagorzałych czytelników gazet mógłby wyprowadzić z równowagi, obrzydzić czytanie raz na zawsze. System ten polega na tym, że listonosze zjawiają się z gazetami tylko w czasie jarmarku i tylko na ulicach prowadzących do rynku. Kto na jarmark nie przybył — przepadł z kretesem. Skreślony z listy prenumeratorów.

Nie oznacza to bynajmniej, że nasi kolporterzy kultury poprzestali tylko na tej metodzie pracy. Owszem, mają i inne. Jeżdżą czasem w teren, kiedy trafi się ładny dzień, docierają do sklepów GS i stołówek. Tam też zostawiają pocztę. A chłopi gonią jak szaleni po gromadach, gdyż nigdy nie wiadomo, pod którą ladą spoczywa spokojnie oczekiwany list, który stół i w jakiej stołówce okrywa opłacona gazeta.

Widzimy więc, że się chłopaki wokół sławy Pacanowa tęgo uwijają. Na ich zabiegi patrzy z sympatią Obwodowy Urząd Poczt w Busku Zdroju, bynajmniej nie zazdrosny o rosnącą sławę dawnego miasteczka kóz. Gorzej natomiast z chłopami. Ci ani rusz, nie chcą żyć w rezerwacie i go gorsza, ani myślą rozstać się z prasą. Najlepszy dowód, że prosili redakcję naszej Gazetki Gminnej, aby listonoszy z Pacanowa nazwać po imieniu — bumelantami, co się też stało. Amen.

Józef Kwaśny

Gazda z Idzikowic

Na wiele pytań związanych z ponurym żywotem i działalnością Władysława Gazdy z gromady Idzikowice, pow. Namysłów (Opolskie) można odpowiedzieć. Jest to bowiem postać już poznana przez korespondenta naszej Gazetki Gminnej. Dla przykładu kilka pytań i odpowiedzi.

Dlaczego Gazda jest spekulantem i szkodnikiem? A no dlatego, że zjawił się po wojnie pierwszy we wsi, ale po to tylko by zająć najlepsze gospodarstwo i rozwinąć szeroko kontakty handlowe. Sprzedawał motorki elektryczne, spalinowe, większe i mniejsze maszyny rolnicze.

A wyzyskiwaczem dlaczego? Dlatego, proszę was, że przez dwa lata zatrudniał u siebie małżeństwo Głowackich. Ciężarną kobietę zmuszał do pracy, a kiedy zanosiło się na to, że będzie musiał oboje ubezpieczyć, nie zawahał się wyrzucić matki z maleńkim dzieckiem.

A sabotażystą? Z tej prostej przyczyny, że regularnie sabotuje skup zboża. Wisiał już zresztą wymalowany na płocie jako kułak. Doprowadził swoje 10 świnek do takiej przebiegłości, że żadna z nich na punkt spędu nie trafiła, choć droga przecież prosta. A swoje 4 krowy tak wyedukował, że natychmiast przestają dawać mleko, gdy mowa o mleczarni i obowiązkowych dostawach.

Jest wszakże jedno takie pytanie, na które w żaden sposób odpowiedzieć nie umiemy. Dlaczego, u diabła, Władysław Gazda jest sołtysem?

Chłopi powiadają, że pana Gazdowe solectwo wzięło się stąd, że któraś z jego tak świetnie wytresowanych świnek zawędrowała cichcem do pewnej wysoko postawionej w gminie osoby. Ale cóż pewnego mogą wiedzieć zwykli chłopi, skoro sam wiceprzewodniczący GRN ob. Sutowicz Edward kategorycznie zaprzecza, jakoby gazdowa świnka zboczyła z drogi na czarny rynek. A zaprzecza tak energicznie, z taką znajomością spraw, że trudno oprzeć się przekonaniu, że Gazda i spora część GRN to jedna wspierająca się rodzinka.

Jan Biegała

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Listonosz

Odmieniło się od kwietnia.
Jest nowy listonosz — Fletnia.

Dali mu na poczcie rower,
czapkę z daszkiem i pulower:

— Kładź na łeb, torba na plecy —
no i w teren, nie ma hecy!

Ha, wziął listy i „Gromadę",
i wziął rower: — „Serwus, jadę".

Lecz panicz nie lubi ruchu,
z dala wieś omija głuchą.

— Tłuc się z poczty do Grabówki?
Wolałbym — do ciepłej wdówki!

Wprost z poczty do domu leci —
a listy roznoszą dzieci.

Dał je, gdy szedł koło szkoły,
wnuczkom Kulki i Anioły.

Dziwić się staremu Bojdzie,
gdy woła, że list nie dojdzie?

Gdzieś list każdy zgrabnie wsiąka,
jak much w nitce pająka.

Ach, niedobrze i nieładnie,
gdy ktoś cudzy list ukradnie,

ach nieładnie, listonoszu,
kiedy bąki wieści noszą.

I co będzie, panie Fletnia,
gdy znów zmieni się od kwietnia
i po rower twój i gażę
zgłoszą się dzieci — szkolarze?

Grabówka w woj. rzeszowskim. Wypadek autentyczny. Listonosz wiejski posługiwał się w rozwózce listów dziećmi.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Tel: Red Nacz 863-86 Tel: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-14297

CZESŁAW MICHNIAK

POD ŁYSICĄ

WŚRÓD drzew kapiących białymi płatkami kwiatów stoją chaty. Wieś nazywa się Dąbrowa. Ale takich Dąbrów w Polsce są krocie. Określmy ją bliżej — gmina Tarczek, powiat iłżecki. Z Iłżą kojarzą się gliniane garnki i ruiny zamku. Między plątaniną gałęzi przeziera okruchami granat lasów. Ten garb na prawo, zieleniejący gdzieniegdzie dębiną — to Łysica. Jesteśmy w górach.

Idzie ku mnie dwoje ludzi, on — w ciemnym ubraniu, ona — w beżowym palcie narzuconym na ramiona. Z drugiej strony nadchodzi młody człowiek w szortach i sportowej koszulce.

Kierownikiem szkoły w Dąbrowie jest kolega Marcinkowski. Stanisław Marcinkowski. Syn małorolnego z Sobkowa, ukończył Liceum Pedagogiczne w Bodzentynie. ZMP-owiec. Koleżanka w beżowym palcie jego żona.

Zjawia się chłop w maciejówce na głowie. Obywatel Głuch — sołtys, a za nim młoda dziewczyna, potrząsająca grzywą lnianych włosów. Koleżanka Oczkowicz. Halina Oczkowicz — przewodniczka harcerstwa.

— Trudno do was dojechać — wzdycham myśląc o wyboistej górskiej drodze i czarnej rozpaczy szofera.

— Trudno — kiwają głowami wszyscy obecni.

Marcinkowski zbliża się do szafy. Na parapecie okna — akwarium, w którym pływają rybki. Za szybkami wdzięczy się rozkwitający bez. Rozglądam się. Sala jest obielona, czysta, ale w jesieni dach przecieka — stąd żółte plamy na suficie.

Kierownik szkoły otwiera szafę i coś z niej wyjmuję. To „coś" chowa sobie za plecami. Miga mi tylko koniec śpiczastego, czerwonego nosa i czarne wybałuszone oko. „Strach" — płynie szept sołtysa. Wzdrygam się, choć za oknami urzęduje słońce, a kogut pieje na pogodę. Miga mi jeszcze rąbek kolorowej spódnicy i blade liczko dziewczyny na patyku.

Tymczasem młody człowiek w szortach — kolega Imiołek (opowiada, że studiował dwa lata w Szkole Filmowej w Łodzi, a teraz pomaga chorej matce na 6-hektarowym gospodarstwie) ustawia wielki prostokątny kawał dykty, obok niego mniejszy. Z drugiej strony znowu większy, taki sam jak z lewej. W ten sposób w środku tworzy się pusta przestrzeń, którą koleżanka Oczkowicz wypełnia kawałkiem błękitnego materiału w kwiatki.

Co będzie dalej?

Ale oto wchodzi do klasy dwoje dzieci. Kierownik przedstawia: Bożenka Kacprzak i Tadzik Bryła. Dziewczynka w szkolnym fartuszku, warkocze ma spięte czerwonymi kokardkami, chłopak patrzy ciemnymi bystrymi oczami.

— Kim chcesz zostać — zwracam się do chłopca.

— Ślusarzem...

— A ty?

— Nauczycielką...

— Pięknie!

Dzieci znikają za przepierzeniem z dykty. Za chwilę sołtys chrząka, a Oczkowicz poprawiając sobie niesforne włosy uśmiecha się tajemniczo — zaraz pan zobaczy...

Coś tu się święci...

Firanka unosi się w górę. Na scenie ukazują się Jagna i Roch. Rozmawiają. Roch w porządnym świątecznym garniturze. Jagna w stroju ludowym. Roch ma żywe usposobienie, wywija rękami, jakby oganiał się od niewidzialnych much. Jagna kryguje się, przymila... Śpiewa piosenkę. Teraz zjawia się strach w czarnym kapeluszu pijacko przekrzywionym na stożkowatej głowie. Akcja rozwija się.

Sołtys reaguje śmiechem pakując sobie kułak do ust. Widział to już tyle razy, a przecież i teraz nie może wytrzymać. — Mógłbym tak co dzień, dobrze to robią — mruga do mnie.

Chłopi bowiem z Dąbrowy i nie tylko z Dąbrowy żyli się z kukiełkami Marcinkowskiego i Imiołka, z gipsowymi cudakami wyprodukowanymi przez dzieciarnię z V i VI klasy. Ale w początkach, gdy brano się za bary z trudnościami, gdy Marcinkowski z własnych funduszów kupował dyktę i majstrował scenę, a Imiołek sterczał przy formowaniu głów, a potem na próbach — śmiano się z nich dobrotliwie: „Stare konie, bawią się lalkami, na co im to?"

Na zajęciach świetlicowych po lekcjach dziewczynki szyły stroje, a chłopcy heblowali patyki. Potem wszyscy razem przerabiali teksty, uczyli się piosenek.

Przygotowano trzy sztuczki: *„Lis przechera", „4 mile za piec", „O Rochu i jego grochu"*. W ciągu niespełna pół roku dano 7 przedstawień w Dąbrowie i okolicznych wsiach przy frekwencji ponad tysiąca osób — dzieci i dorosłych. To prawdziwy sukces!

— Chcemy sięgnąć po tematy poważniejsze — mówi Marcinkowski — których treścią będzie walka o nową wieś, chcemy też, aby zarówno stroje jak i oprawa muzyczna wystawianych sztuczek ściślej niż dotąd wiązały się z naszym pięknym folklorem świętokrzyskim.

— Jesteśmy w stałym kontakcie z Państwowym Teatrem Lalek w Łodzi — przyłącza się do rozmowy Imiołek.—Dobrze by było, gdyby naszym teatrzykiem zainteresował się również Wydział Oświaty i Kultury przy Prezydium WRN w Kielcach

Cz. Michniak